JAGIEŁŁOWE SĄDY.

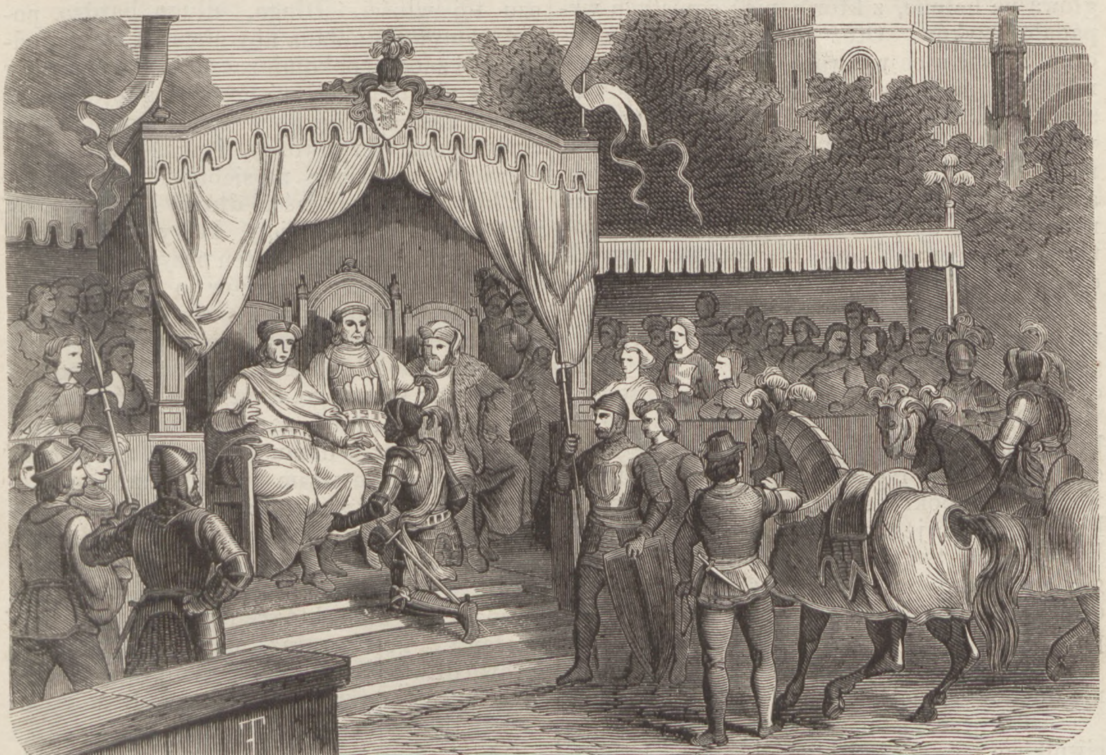
OPOWIADANIE Z DAWNYCH DZIEJÓW.

— Tak więc czestny Lasoto, nie widzicie innego ratunku dla mego Jana, jeno żeby sam stanął przed obliczem królewskiém, a rychło sprawę swą wyjaśnił, mówiła smutnie piękna lubo zbladła od łez gorzkich niewiasta, do poważnego starca, który wraz z nią siedział w ganku i obracając w ręku bobrową czapkę gotował się do wyjazdu.

— Nie czas jeszcze po temu, wpierw inne rzeczy załatwić trzeba.

Młode pacholę, które wbiegłszy chyżo, przytuliło się do szaty matczynéj, przerwało tę rozmowę.

— Dość już na dziś uradziliśmy, rzekł powstając starzec, bywajcie zdrowi miła Anno, bo czas mi w drogę, a ty Andr zeju, dodał



Cesarz Zygmunt zasiadł na wyniesieniu mając po jednéj stronie naszego Jagiełłę, a po drugiéj Karwenia Bośniackiego króla.

— Inaczéj nie dacie rady tam, gdzie złość ludzka się uwzięła.

— Ale jakże wyrwać go ze szpon nieprzyjaciela, jak ucieczkę obmyśleć?

— Nie wasza to już rzecz, módlcie się jeno, bądźcie dobréj myśli i nie żałujcie sypnąć gdzie potrzeba.

— Jażbym żałować miała, miły Boże! a toć i misy srebrne i roztruchany złociste i drogie kanaki, com je w puściźnie po pani matce wzięła, oddam wam ochotnie!

— Tyle nie potrzeba, dość kilka kóp groszy.

— Oto klucze od skrzyni, bierzcie ile chcecie.

zwracając się do chłopięcia, pamiętaj słuchać matki a frasunku jéj nie przymnażać.

— O nie! odparła Anna ściskając syna podczas gdy Lasota na koń wsiadał, on na teraz jedyném weselem mego życia!

Młodzieniaszek pozostawszy sam na sam z matką, usunął się z jéj objęć powoli i lekka chmura zaćmiła piękne jego czoło.

— Co ci to? pytała łagodnie Anna, od pewnego czasu straciłeś swobodę, która przystoi młodym latom twoim.

— Wyrosnę niezadługo, a nie wiem dotąd za co ojca trzymają w turmie, rzekł Andrzéj patrząc nieśmiało w oczy matki.

— Powiadałam ci już nieraz, że źli ludzie oczernili go przed królem, odparła blednąc Anna, późniéj dowiesz się reszty.

— Mówiliście to samo przed zimą, a teraz już Maj łąki zazielenił; o! matko, nie chcecie podzielić ze mną frasunku waszego; ach! gdybym był mężem a nie chłopięciem, jak ów rycerz, którego pradziad nasz pokonał, przywdziałbym hełm z płomienną lwią paszczęką i wyzwoliłbym ojca nie pytając co zawinił!

— O jakim to rycerzu prawisz? mówiła uśmiechając się na pełne zapału słowa młodzieniaszka matka.

— Ojciec rozpowiadał mi nieraz, że skoro rycerz Zadora, głowa naszego rodu, zawitał na dwór francuzkiego króla, zjawił się tamże inny wojownik co wystraszał wszystkich lwią głową na hełmie, z której pięć ognistych wypadało języków. Otóż pradziad nasz nie bacząc, że wielu co wyzwało do walki czarownika tego, śmiercią przypłaciło swe zuchwalstwo, spotkał się z nim mężnie i pokonał go w boju. Odtąd Zadora, lwia głowa z płomiennemi języki, jest klejnotem rodu Wojeńskich, a godłem ich powinny być słowa: że niema niepodobnéj do pokonania trudności dla potomków rycerza który klejnot ten wywalczył.

— Skoro tak myślisz synu, rzekła z rozrzewnieniem Anna, widzę że duch twój prześcignął młode lata i że nadszedł czas w którym ci opowiedzieć mogę nieszczęścia ojca twego.

— O dzięki wam matko! stary Jaxa co tu był niedawno, prawił coś niewyraźnie o gwałcie i grabieży i odtąd nie mam chwili wytchnienia, dopóki nie dowiem się że to wszystko kłamstwem jest wierutném.

— Ojciec twój nie przywłaszczył sobie nigdy cudzego dobra, jeno w krewkości porywczéj chciał ukarać wroga, który mu z dawna po karku deptał.

— A któż był wrogiem owym? czy czasem nie duchowna osoba?...

— Tak jest w istocie, najzawziętszym przeciwnikiem naszym był bliski krewny, przełożony klasztoru.

— Prawdę zatem powiadał Jaxa, szepnął Andrzéj, podczas gdy matka siadała wzruszona na dębowéj ławie, aby daléj ciągnąć swe opowiadanie.

— Ksiądz Piotr, mówiła z cicha, chował się pospołu z ojcem twoim, a był zawsze niespokojny a burzliwy bardzo, choć się z tém jeszcze taił przed ludźmi. Ilekroć pozostawał sam na sam z młodym krewniakiem, umiał się dać temu we znaki. Zanim przywdział suknię zakonną, miał zamiar żyć hucznie i wesoło w świecie, począł więc szukać niewiasty z którąby los swój podzielił. Nieszczęściem wybrał sobie właśnie tę, która wpierw już ojcu twemu przypadła do serca i odpłacała mu wzajemnością. Piotr był bogatszy, rodzice zatém dziewki chętniéj skłonili się ku niemu. Mimo łez oblubienicy, oznaczono dzień ślubu, gdy nagle narzeczony który z początku na wstręt jéj nie zważał, dowiedział się że kochała Jana. Gniew jego nie znał wtedy granic, opuścił ją prawie na ślubnym kobiercu i rzucił się w burzliwe życie, które niezadługo potem zapragnął w klasztorze zakończyć. Ale mściwe serce nawet w ustroniu poświęconém modlitwie i skrusze, nie mogło zabaczyć mniemanéj krzywdy. Daremnie poślubiwszy z czasem ojca twego, starałam się pogodzić krewnych, których waśni byłam mimowolną przyczyną; daremnie wielokrotne czyniłam kroki ku przejednaniu księdza Piotra. Nie chciał uwierzyć że dawniéj jeszcze znałam Jana i że ten nie knował przeciw jego szczęściu, gdy starał się pozyskać wzajemność moję. Na zgubę naszą klasztor Piotra stoi na pograniczu téj włości. Długo, długo bardzo powstrzymywałam Jana aby złem za złe nie oddawał i znosił spokojnie zaczepki któremi wróg jego w nieubłaganéj nienawiści swojéj chciał zatruć nasz spokój. Porywczość wzięła w końcu górę nad cierpliwością i mąż mój dał się złowić w zastawione na siebie sidła, napadając klasztor aby pomścić długie lata krzywdy i zniewagi. Ksiądz Piotr, który postępkami swemi oddawna wybuch ten przygotował, wiedział dobrze przez szpiegów o dniu i godzinie wycieczki Jana i tak wszystko obmyślił, że nie nadstawiwszy karku wkrótce został panem placu bójki. Nie posiadał się z radości uwięziwszy krewnego, a naszydziwszy z niego do woli, oddał pod sąd obwiniając o mordy, gwałt i grabież w domu bożym. Jan był podówczas sędzią ziemskim poznańskim, a że przy sprawiedliwości zawsze stale obstawał i podczas zawichrzeń spowodowanych przez zatargi Grzymalitów z Nałęczami, wszystkich wykraczających podług prawa karał, ztąd miał zawziętość u wielu którzy radzi byli okryć go niesławą. To téż zaraz nie chcąc słuchać usprawiedliwień jego, oczernili go przed królem, zagarnęli wszystkie włości i osadzili w warowném więzieniu.

Gdy Anna słów tych domawiała, rozległ się tentent kopyt końskich i pan Lasota ukazał się znów przed gankiem.

— Co to jest, co się wam przytrafiło? pytała przerażona niespodziewanym jego powrotem niewiasta.

— Nic złego i owszem pomyślną wieść przynoszę, odparł witając ją z uśmiechem. Spotkałem na drodze Jaśka z Dobiesławia, który jechał tutaj aby dać nam wiedzieć że nadeszła najsposobniejsza pora wyzwolenia Jana. Zawróciłem go, bo mu pilno było do domu, a sam przybyłem po bite grosze...

— Boże! czyż mię słuch nie myli? zawołała składając dziękczynne dłonie Anna, jakże się to stało, skoro niedawno jeszcze wyczekiwać mi kazaliście téj pomyślnéj chwili?

— Za długo byłoby opowiadać teraz wszystko, dość że wieść jest pewna, spieszcie więc

do skrzyni bo mi pilno w drogę, skoro czasu niema do stracenia.

Anna już nic nie odrzekła tylko pobiegła żywo ku drzwiom, lecz Andrzéj zatrzymał ją w progu.

— Matko, rzekł, rozumiem wszystko. Pan Lasota spieszy uwolnić ojca, pozwólcie abym z nim poszedł. W głosie i całéj postawie młodzieniaszka przebijało tak silne postanowienie, że matka mu się oprzeć nie śmiała. Spojrzała tylko bojaźliwie na Lasotę.

— Jędruś chce iść z wami, rzekła z cicha, pewna odmownéj odpowiedzi, lecz ku wielkiemu jéj zdziwieniu, pan Lasota zamyślił się chwilę, a potém machnął ręką na znak przyzwolenia. Andrzéj przejęty wdzięcznością rzucił się do kolan jego.

— Dobrze, rzekł hamując wzruszenie starzec, że pragniesz nadstawić karku za ojca, a choć w czternastu leciech nikt nie sposobny do szabli, to zawsze dobra wola na coś się przyda. Myślę ja, dodał głos zniżając i mowę zwracając do Anny, że Jędruś na prawdę ojcu pomocnym będzie; draby wysłane w pogoń za więźniem napastują najwięcéj pojedynczych ludzi, pielgrzym zaś spieszący do Krakowa wraz z synaczkiem, którego ofiarował do grobu św. Stanisława, może nie tak łatwo zwróci ich baczność na się.

— Alež króla niema na teraz w Krakowie, zawołała nagle załamując ręce Anna, a my zapomnieliśmy o tém.

— Nie trwożcie się, rzekł Lasota, to właśnie najlepiéj wypada, bo raz dostawszy się na węgierską ziemię, Jan już bezpiecznym będzie od pogoni, a w Budzie łatwiéj niż na Wawelu znajdzie dostęp do miłościwego pana naszego, a i cesarz Zygmunt niewątpliwie wstawi się za nim, uprzedzony dobrze przez przyjaciół naszych: miecznika krakowskiego Żyndrama, Mszczunga ze Skrzynna i Domarata z Kobylan; dwaj ostatni osobliwie zjednali sobie poważanie u niego, popisując się nieraz na harcach rycerskich w obec całego węgierskiego dworu.

— Ach! prawdę mówicie! dzięki wam za tę pociechę. Oby Bóg tylko przywiódł was na miejsce szczęśliwie.

— Będziemy go błagać o to w modlitwie gorącéj, a teraz idźcie już po wory z groszami, a ty młodzieniaszku do drogi się gotuj!

Niedługo potém pan Lasota wyruszał w podróż wraz z Andrzejem, a osamotniona Anna, leżąc krzyżem przed ołtarzem domowéj kaplicy, ze łzami polecała Bogu męża i syna.

—

Podczas gdy Władysław Jagiełło z Anną hrabianką Cylejską drugą żoną swoją, z siostrą swą Aleksandrą, mężem tejże Ziemowitem, Heleną księżną Raciborską i całym dworem, odprawiał wesoło zapusty w Sączu, cesarz Zygmunt przysłał tam do niego w poselstwie kardynała Branda i Ścibora ze Ściborzyc wojewodę Siedmiogrodzkiego, z zaprosinami na zjazd do Węgier, dla odnowienia wieczystego przymierza. Wzdragał się z początku do tego kroku Jagiełło, lecz w końcu przecie namowy skutek odniosły i zgodził się na zjazd do Lubomli. Chytry Zygmunt umiał go tam ująć tak bardzo, że zezwolił na dalszą z nim wycieczkę w głąb węgierskiego kraju. Król Władysław lubił namiętnie łowy, zabawiano go téż niemi bez końca, a pod ten czas panowie polscy: Wojciech Jastrzębiec biskup poznański, Jaśko z Tarnowa wojewoda krakowski, marszałek Zbigniew z Brzezia i dostojnicy węgierscy: Mikołaj z Gary, Szymon z Rozgonia, Jan arcybiskup strygoński i Herman graf Cylejski, radzili wspólnie o sprawach obu krajów. Zwiedził późniéj z kolei Jagiełło wraz z żoną, cesarzem i jego dworem, Budę, Wyszogród i Waradin, gdzie pieszo odprawił pielgrzymkę do grobu św. Władysława. Po zawarciu różnych układów korzystnych dla przebiegłego Zygmunta, zatrzymał się jeszcze w Budzie aby być obecnym igrzyskom rycerskim, które się tam na cześć jego odprawić miały; królowa zaś Anna pożegnawszy stryjeczną swą siostrę cesarzowę Barbarę, powróciła do Krakowa. Zjechało się podówczas do stolicy Węgier wielu cudzoziemców znakomitego rodu i sławy rozgłośnéj. Pomiędzy niemi byli także posłowie weneccy, Francesco Mozenigo i Antonio Loredano, przybyli do Budy zawezwani w imieniu Jagiełły przez kanonika krakowskiego Tomasza de Diako, który zapewniał im pojednawcze pośrednictwo polskiego króla, w załatwieniu zatargów pomiędzy cesarzem Zygmuntem a rzeczpospolitą oblubienicą Adrjatyku. Byli też i posłowie tatarscy sułtana Zeledyna, którzy przyprowadzili w darze dla Jagiełły trzy wielbłądy suknem pokryte i ofiarowali mu pomoc pana swego przeciw nieprzyjaciołom. Nazajutrz po uroczystości Bożego Ciała, wspaniały i niezwyczajny widok przedstawiło pole popisów rycerskich na którém się wszyscy zgromadzili. Cesarz Zygmunt zasiadł na wyniesieniu mając po jednéj stronie naszego Jagiełłę, a po drugiéj Karwenia Bośniackiego króla, który przybył umyślnie wraz z małżonką i przywiódł z sobą mnogo wojennego ludu. Na znak dany rozpoczęto igrzyska. Krzyżowały się włócznie, dźwięczały szable, a świetne zbroje migotały w blaskach słońca, jak drogocenne klejnoty. Ówczesna kronika powiada, że ścierali się wówczas rycerze: włoscy, niemieccy, francuzcy, greccy, węgierscy, bulgarscy, bośniaccy i wołoscy, polacy zaś najpierwsi występowali do boju, a gdy wszystkich już w mdłość wprawili, to i tak jeszcze potykali się najdzielniéj sami z sobą. Odznaczyli się szczególniéj: Dobiesław z Oleśnicy, Mszczung ze Skrzynna, Zawisza Czarny z Grabowa, Domarat i Jakób z Kobylan, Marcin z Rytwian i Andrzej z Balic, a król Władysław nie posiadał się z radości patrząc na ich waleczność.

Na uboczu, gdzie Ernest książe austryjacki

wygnany przez zagniewanego nań cesarza ukrywał się w tłumie, stał mąż wojowniczéj postaci, który snać również nieznanym chciał pozostać, bo choć mu z oczu patrzała odwaga i chęć do boju, śledził tylko z najwyższém zajęciem wszystkie ruchy walczących, a sam nieposuwał się w szranki. Tuż przy jego boku młode pacholę z niemniejszą ciekawością przypatrywało się walce. Wypadło właśnie wtedy że Zawisza z Grabowa wyzwał jakiegoś niemca, który sam jeden dotąd stał na równi z polskiemi rycerzami. Otóż tedy gdy ów niemiec tak wytrwały, jak dąb strzaskany uderzeniem piorunu, runął pod ciosami naszego Zawiszy, nieznajomy tak wielką okazał radość że zwrócił na się oczy otaczających go bliżéj.

— Na Boga! czy mię wzrok nie myli, rzekł jeden z dworzan Jagiełłowych do stojącego obok towarzysza, alboć to pan Jan Wojeński, blady i wynędzniały jak upiór stoi tam na uboczu.

— Ha! ha! odparł ze śmiechem zagadniony śni ci się chyba, alboż nie wiész że od dwóch lat zamknięty w turmie, zkąd nawet bliższéj niż do Węgier nie mógłby zrobić wycieczki.

— No, to chyba czary jakieś, bo przysiągłbym żem go widział tam ot... teraz dopiéro znikł mi w tłumie.

Nowa potyczka, która zakończyła igrzyska dnia tego przerwała rozmowę obu widzów.

Skoro mąż nieznajomy wrócił do podróżnéj gospody wraz z młodzieniaszkiem swoim, zastał już tam poważnego starca, który zdaje się przybycia jego wyczekiwał.

— O! jakże kiedykolwiek zawdzięczę wam, ojcze Lasoto, wszystko co ponosicie dla mnie, rzekł rzucając się w jego ramiona, winienem wam więcéj niż życie, bo za waszą sprawą wolność odzyskałem. Dawnoż przybyliście tutaj? co porabia miła Anna moja?

— Od kilku godzin dopiéro jestem w Budzie, lecz Jaśko dał mi wpierw jeszcze wiedzieć żeście w bezpieczeństwie wszelkiém i Anna już dziękczynne śluby złożyła Bogu za wyzwolenie wasze. Nie pozostaje jak obmyślec teraz w jaki sposób powrócić do niéj bezpiecznie.

— Radźcie ojcze, a posłucham ochotnie, bo mądrość Ducha bożego jest z wami, pobłogosławcie jeno wpierw chłopięciu temu, które podczas wędrówki w kraj obcy, mimo lat młodocianych służyło mi z dziwną roztropnością i odwagą.

— Pewien byłem, że się sprawi wiernie i mężnie rzekł Lasota, tuląc do piersi Andrzeja, który chciał uścisnąć jego kolana, a potem zwracając mowę do pana Wojeńskiego: powiedz mi synu mój, ciągnął daléj, ażali widziałeś już przyjaciół naszych i porozumiałeś się z niemi?

— Nie ojcze, czekałem przybycia waszego, nie wiem bowiem jeszcze gdzie ich na osobności odszukać, a nie chciałbym aby reszta dworu miała świadomość o ucieczce mojéj, gdyż teraz jeszcze mógłby kto źle przeciw mnie usposobić króla.

— Mądrze mówisz, najlepiéj pono wypadnie jeżeli sam ich wpierw zobaczę, a ty siedź tutaj cichaczem i czekaj mego powrotu.

— I ja tak myślę, lecz jakże dziękować wam za ten trud nowy....

— Daj pokój temu, chowaj twą wdzięczność dla Boga w Trójcy jedynego i przenajświętszéj Panny Marji, za któréj przyczyną wybawiony jesteś z rąk złego człeka. Albożem nie chrzestny i pokrewny twój, iżbym szczędzić miał zachodu w tak ważnéj potrzebie?

— Wielu przyjaciół i krewnych, ba! nawet takich co nieraz wsparłem radą lub datkiem, odstąpiło w złéj godzinie, mówił z gorzkim uśmiechem pan Wojeński, nie dziwujcie się więc że rozumiem życzliwość waszą.

— Dajmy pokój tym co nie bożemi drogami chodzą, a wspomnijmy raczéj statecznych w przychylności; Mszczung, Domarat, Dobiesław i Żyndram nie zawiodą nas pewno.

— Patrzałem zdala jak potykali się mężnie w szrankach i serce rosło na widok ten.

— Jutro, da Bóg doczekać, przekonasz się że równie jak dzielni w boju wiernemi bywają w przyjaźni.

Nazajutrz pan Wojeński na prośby Andrzeja udał się jeszcze na plac igrzysk, uczynił to jednak niechętnie bardzo, bo ręka rwała się do oręża na widok walczących, a ostrożność nie pozwala występować w szrankach pod bokiem nieprzebłaganego jeszcze króla. Pan Lasota udał się do swych przyjaciół a potem znów oba zeszli się w gospodzie. Na czole starca osiadła lekka chmura niepokoju.

— Oblicze wasze coś nie dobrego wróży ojcze? pytał pan Jan przy powitaniu.

— W istocie, rzeczy źle się obróciły, lecz nie można je przez to uważać za stracone. Król nasz poróżnił się z cesarzem i zaraz pojutrze pono ma wyjeżdżać, trudno więc znaleźć czas widzenia go na osobności. Posłowie weneccy nawarzyli nam tego piwa.

— Jakto? jakim sposobem?

— W mieście jeszcze o tém nie wiedzą, ale przyjaciele nasi rozpowiedzieli mi rzecz całą. Pan nasz miłościwy chciał skłonić wenecjan do pojednania z Zygmuntem, któremu chodzi o to aby oddali niedawno zabraną Dalmację, oni zaś jakby na śmiech w imieniu doży swego Michała Steno, ofiarowali w zamian białego konia pokrytego suknem szkarłatném jako coroczną daninę i o niczem więcéj słyszeć nie chcieli. Rozgniewany srodze tym ich uporem cesarz, chciał skarcić zuchwałych. Kazał uwalać w błocie chorągwie ze lwem weneckim, które zdobył niedawno w boju i takowe porzucić pod oknami posłów. Zażądał potem aby król polski przejeżdżając tamtędy z dworem swoim zdeptał je na znak pogardy. Domyślec się łatwo że ani król, ani rycerstwo nasze, które dbając o cześć własną, cudzą uszanować umie, uczy-

nić tego niechciało. Ztąd gniew i przekąsy pomiędzy obiema monarchami, a wreście przyspieszony wyjazd Jagiełły.

Pan Wojeński zamyślił się głęboko i po chwili rzekł z cicha: Zgadujcie co przyszło mi do myśli patrząc jak dziś Ernest Austrjacki, któremu tutaj podobnie jak i mnie jawnie występować nie wolno, w zakrytéj przyłbicy, uwijał się pomiędzy walczącymi i nie jedno odniósł zwycięztwo?

— Rozumiem cię synu, zawołał radośnie Lasota, to natchnienie boże... Jutro król sam rozdawać będzie nagrody... łacniéj okaże łaskawe serce dla zwycięzcy, biegnij więc co tchu wystarać się zbroi i nie troszcz się o resztę!

W ostatni dzień igrzysk Zygmunt i Jagiełło pogodzeni niby pozornie, zasiedli zwykłe swe miejsca. Oprócz znanych już z poprzednich potyczek rycerzy, wzbudził w dniu tym podziw ogólny, mąż czarną od stóp do głowy okryty zbroją, bez żadnego znaku na tarczy. Dokazywał on cudów waleczności i w końcu pierwszą zdobył nagrodę. Gdy ukląkł przed królem polskim aby ją otrzymać z rąk jego i uchylił wtedy przyłbicy, uważano, że Jagiełło cofnął się nagle, jak gdyby pełen podziwu a zarazem niechęci, późniéj jednak, w miarę jak rycerz prawił coś cichym zaledwie dosłyszanym od stojących w pobliżu dworzan głosem, zwolna wypogodził czoło. Tegoż samego dnia jeszcze pan Jan Wojeński szedł na pokoje królewskie wraz z synem, starym Lasotą i innemi przyjaciołmi.

— Na Śgo Stanisława! zawołał wesoło zoczywszy ich król, a wszak ci to przypomniał mi pan miecznik krakowski, że wraz z rodzicem waszym panie Wojeński, byliście w kilkadziesiąt koni pod Grünwaldem i tam to znajomość nasza się poczęła; odnowiliście ją dzisiaj władając znów dzielnie orężem. Nie, na Bóg żywy! rycerz tak mężny nie mógł się dopuścić mordów i grabieży. Pan kasztelan Wojnicki pojedzie zaraz do Wielkopolski rozpatrzéć bliżéj tę sprawę, a jeżeli jak się spodziewam, wykaże niewinność waszą, nie będziecie mieli prawa narzekać na Jagiełłowe sądy....

— Nie pragnę niczego więcéj miłościwy panie jeno usprawiedliwić się przed wami, a potém polecić opiece waszéj to chłopię, rzekł pan Wojeński wskazując Andrzeja, który stał z boku zarumieniony. Król pogładził po twarzy młodzieniaszka i dorzucił jeszcze łaskawie.

— Nie wątpię że z czasem równie dzielnie jak rodzic szablą władać potrafi.

Nazajutrz po téj rozmowie, pan Wojeński wraz z Dobkiem kasztelanem Wojnickim pośpieszył do domu, w którym małżonka jego Anna z Górki, oczekiwała go z utęsknieniem. Król też także na prawdę zabierał się z powrotem do Krakowa. Cesarz Zygmunt chcąc go ostatecznie przejednać i uczynić nadal równie jak dotąd powolnym zamiarom swoim, zwrócił mu na odjezdném uwiezione do Węgier przez Elżbietę siostrę Kazimierza Wgo koronę Bolesława, berło, jabłko i szczerbiec, ofiarując mu przy tém pierścień Ludwika, srebrny relikwjarz, trzy postawy aksamitu, sukno florenckie i konie wierzchowe. W zamian za te dary Jagiełło, posłał cesarzowi futra kosztowne, konie i ptaki myśliwskie, a Andrzejowi Rozenowi, który je doręczał, podarował dwie wsie w powiecie Sądeckim. W dzień Wniebowzięcia Najświętszéj Panny odprawował król polski wjazd do Krakowa, witany przez królowę, lud i duchowieństwo. Koronę Bolesława i inne odzyskane drogie wszystkim pamiątki, niesiono z wielką radością w uroczystéj procesji. Niezadługo potem powrócił z Wielkopolski pan kasztelan Wojnicki wyświeciwszy sprawę Jana, który jak pokazało się tem tylko zawinił, że zamierzył ukarać nieprzyjaciela swego, kary téj jednakże nie spełnił, równie jak i części win, które mu zarzucano przy téj sposobności. Aby wynadgrodzić krzywdę, król kazał oddać nietylko zabrane włości, lecz nadto jeszcze nadał kasztelanją Biecką i osadziwszy w senacie, wyznaczył sto grzywien rocznie z żup Wielickich. Odtąd rodzina Wojeńskich inaczéj *Wenetami* zwanych, odznaczała się ciągle zamożnością i znaczeniem w kraju. Andrzéj syn Jana zaślubiwszy Weronikę z Bnina dawał niejednokrotnie w dalszém życiu dowody roztropności i męztwa, które go cechowały w chłopięcych latach. Syn jego Przedbor kupił wspaniały zamek Ziemblicz od księcia Cieszyńskiego, który następnie przekazał synowi swemu ożenionemu w Czechach z córką przemożnego Walensteinów rodu. W wielkich on był łaskach na tamecznym dworze. Mimo jednak że opływał w dostojeństwa i dostatki, porzucił wszystko, aby dzieci nie chować w obczyznie i powrócił do Polski, skoro tylko podrastać zaczęły.(*)

A. z Ch. Borkowska.

(*) W bibliotece ordynata hr. Krasińskiego znajduje się po łacinie pisana kronika, z drzewem genealogicznem rodu Wojeńskich, z któréj czerpane szczegóły powyższego opowiadania.

PRZYGODY WĘDROWNEGO ARTYSTY NA LIBANIE.

(Aventures d'un artiste dans le Liban par Richard Cortambert).

Książka która wyszła niedawno pod wyżéj wymienionym tytułem w Paryżu, zachwalona była przez tameczne literackie dzienniki. Odzywał się o niéj pochlebnie pomiędzy innemi nawet poważny *Journal des Débats*, mimo to nie znajdujemy wcale aby odpowiadała tym pochwałom zarówno pod względem stylu jak treści. Ponieważ jednak zwróciła na siebie uwagę, streszczenie jéj podajemy czytelnikom naszym, opuszczając rozwlekłe gadaniny któremi zapełniona, a uwydatniając jedynie wybitniejsze miejsca. Młody artysta malarz, w chęci pozyskania rozgłosu, (jak się sam wyraża w przedmowie) wędruje na wschód zabierając oprócz farb i pędzli broń, którą zamierza walczyć w sprawie prześladowanych jeszcze podówczas chrześcjan w Syrji, gdzie jednakże przeminęły już piérwsze chwile wybuchu zemsty muzułmanów. Pomiędzy towarzyszami jego podróży, opisanemi w piérwszym rozdziale, najwięcéj odznaczającą się postacią jest pan Cahlben zajmujący ważną posadą na wschodzie i powracający tamże wraz z młodą małżonką niedawno poślubioną we Francji. W piękny czerwcowy poranek statek niosący wędrowców staje w zatoce Beyruthu, głównéj przystani morskiéj w Syrji. „Beyruth podobny jest do pięknéj sułtanki która wsparta niedbale na szmaragdowych poduszkach, marzy zatapiając wzrok w jasnych głębiach morza. W oddali widać szczyt Libanu o skroni uwieńczonéj zimą, ramionach wiosną, a piersiach jesienią pokrytych, u stóp którego lato drzémie. Serce artysty uderza silniéj na widok ten, lecz pędzel jego odtworzyć go nie zdoła, zarówno jak wiele innych cudów ziemi, która była kolebką rodzaju ludzkiego i ojczyzną Chrystusa. Wszystkie prawie plemiona zamieszkujące Syrją, spotkać można na ulicach Beyruth'u; turcy, żydzi, armeńczycy, grecy, arabowie, druzowie i maronici krzyżują się tam na przemiany. Mają oni za zwyczaj cudne czarne oczy marzącego lub okrutnego wyrazu, chód poważny niemal uroczysty, ubiór aczkolwiek często w łachmanach noszą z pewną dumą, słowem w upadku ich nawet przebija wielkość podobna do ponurego majestatu zwalisk dawnéj świątyni. Na kilka dni przed przybyciem europejskiego towarzystwa, znaleziono na ulicy ciało zabitego muzułmanina i chrześcijanin posądzony o to zabójstwo, żywcem prawie przez lud zapamiętały rozszarpany został, z głębi zaś Syrji dochodziły ciągle odgłosy nowych okrucieństw. Nazajutrz po wylądowaniu artysta udaje się na wieczór do jednego z konsulów. „Dom ten napełniony był maronitami, którzy ocalawszy od śmierci przybyli szukać schronienia pod opiekuńczym sztandarem europejskiego ludu. Ranni zajmowali dolne pokoje, przy nich zakonnice pełne poświęcenia uosabiały miłosierdzie i poetyczną piękność katolicyzmu. Na szlachetnych obliczach chorych, dotkniętych we wszystkiem co im najdroższém było na ziemi, jaśniało pokorne poddanie woli bożéj, obok głębokiego smutku. Cały dom miał postać żałobną z wyjątkiem wielkiéj sali na ceremonjalne przyjęcie, która zachowała pozór świetności odbijającéj dziwnie od surowéj prostoty innych części mieszkania. W sali téj zgromadzili się goście konsula, pomiędzy niemi zwracała uwagę lady R. Szlachetna ta pani, należąca do znakomitszego społeczeństwa Beyruth'u, łączyła tyle powabów wyższego umysłu, że mogłaby niemi podbijać serca, gdyby nawet mniéj piękną była. Włosy i oczy jéj były kruczéj barwy, mimo że urodziła się pod mglistem niebem Albionu. Widując ją często miałeś na przemian przed oczyma kobietę wielkiego świata, pełną wdzięku i jaśniejącą dowcipem, lub przyjaciołkę wszystkich strapionych, równą poświęceniem córom Śgo Wincentego z Paoli, słowem zachwycała tak w salonie jak przy łożu nieszczęśliwych chorych. Sama też dużo wycierpiała, a żałobna odzież którą nosiła wówczas, przypominała ostatnią wielką boleść jéj życia. Zamieszkując od lat dwunastu w Syrji świadkiem była wielu wypadków które opowiedzieć umiała z zajęciem. Pan Cahlben przebywający również oddawna na wschodzie, zabrał głos po niéj aby zaznajomić przybyłych świéżo europejczyków z charakterem i obyczajami druzów i maronitów; rozmowy te przerwane zostały okrzykiem jednego ze zgromadzonych anglików, który odłączył się od reszty towarzystwa i wyszedłszy na taras śledził pilnie za pomocą dalekowidza przyległą okolicę.

— Patrzcie, patrzcie, co za widok tam na górze u stóp téj zburzonéj świątyni! Wszyscy wybiegli z sali i ujrzeli niebawnie to co sir Rohrson nazwał *ciekawym* widokiem. Niestety! był to obraz który się nie zatrze w pamięci tego, co go raz ujrzał!

Na pochyłości góry u schodów zburzonego jakiegoś budynku, gromada muzułmanów rzuciła się na bezbronnego starca, któren legł wkrótce śmiertelnie pchnięty jataganem; prócz tego wszędzie w pobliżu przy blasku płomienia pożaru podobne przedstawiały się sceny, dolatywały nawet uszu słabe dźwięki dzikich okrzyków, jęków boleści umierających chrześcjan i huku palnéj broni. Serca zgromadzonych rozdzierały się srogim bólem, nie mogąc w obecnéj chwili nieść innego ratunku braciom nad łzy i modlitwę. Niektórzy opatry-

wali broń i gotowi byli biedz im w pomoc, inni uciekali do domu nie mogąc znieść strasznego widoku, któremu jedynie anglicy z wielkiém zgorszeniem rodaczki swéj lady R. przypatrywali się ciągle z zajęciem. Nazajutrz wszyscy zgromadzili się w mieszkaniu pięknéj angielki, gdzie się zejść mieli z przedstawicielami władz europejskich, aby obmyślec sposób zapobieżenia szerzącym się na nowo mordom. W końcu narady przybyła pani Bischara Souza wdowa świéżo zabitego przez turków greka, piękna i młoda kobiéta, która w boleści swéj zdawała się być uosobieniem cierpień wszystkich chrześcjan Libanu, zjawiło się kilku maronitów ocalonych od wczorajszéj pobliskiéj rzezi, a nadto przyszedł list od przyjaciela lady R. czcigodnego starca który pisał do niéj w te słowa:

Pani!

Ty która jesteś strumieniem chłodzącym ogień boleści, kwiatem rozpraszającym czarowną wonią barwy smutku, przybywaj do nas! Sam jeden ocalałem z rodziny mojéj nad którą zawisł krwawy miecz druzów! Synowie moi polegli w Deir el Kamar, otoczony jestem teraz towarzyszami, wśród których wdowy i sieroty oczekują twéj pomocy. Jeżeli Opatrzność pozwoli nam dożyć téj pomyślnéj chwili z jaskini w dolinie Abadiech, gdzie ukryci jesteśmy, odpowiemy na wołanie twoje okrzykiem imienia Jezus!“

Całe towarzystwo przybyłe z Europy wzruszone tém wszystkiém postanowiło pośpieszyć na wskazane miejsce, a następnie puścić się w góry na pomoc innym nieszczęśliwym. Lady R. przewodniczyła całéj wyprawie, w któréj bierze udział zakochany już w niéj artysta, oraz oboje państwa Cahlben. Wszyscy niewyłączając kobiét, zbrojno pośpieszyli w góry, gdzie przytrafiło im się wiele mniéj lub więcéj prawdopodobnych wypadków. Pomiędzy scenami wojny, w których Lady R. bohaterską odgrywa zawsze rolę, długiemi opowiadaniami wybawianych z niewoli lub tylko napotykanych w drodze osób, ma miejsce spotkanie z Abd-el-Kaderem. Wystrzał z palnéj broni a po niém przeciągłe gwizdnienie rozległo się nagle w pustyni, którą przebywał zbrojny oddział europejski. To hasło Abd-el-Kadera zawołali radośnie towarzyszący mu arabowie, za chwilę powitamy tutaj Emira! Poczyniono zaraz przygotowania na przyjęcie tak zacnego gościa, rozbito i ozdobiono namiot, do którego wprowadzono go w istocie niezadługo, przy świetle pochodni i odgłosie wesołych okrzyków. „Trudno wypowiedzieć mówi artysta, jakie uczucia przejęły nas na widok szlachetnego Emira, pamiętam tylko, że gdy przy powitaniu dziękowałem mu imieniem całego chrześcijaństwa za opieką jaką otacza naszych współwyznawców, wyciągnął do mnie rękę, którą uścisnąłem z uczuciem niewymownéj czci i uwielbienia.

— Dobrze uczyniłeś rzekł, że wraz z towarzyszami przybyłeś na pomoc biednym maronitom, na nieszczęście sam Bóg wié tylko kiedy się skończy ich niedola!

W oczach Abd-el-Kadera przebija niezłomna wola i myśl głęboka, znać w nim poetę i zarazem człowieka czynu.“

Nazajutrz równo ze świtem Emir wyruszał w dalszą drogę. „Skoro dosiadł swego cudnego, białego konia o jedwabnéj długiéj grzywie, dobył szpady i wzniosł ją do góry. Słońce wychyliło wtedy swe promienie z poza chmury i w pierwszym ich blasku zapłonął jak w ogniu oręż szlachetny i zdało się, że złota gwiazda wypłynęła zeń żeglując ku niebu.“

Wkrótce potem, gdy już biały tuman kurzawy pokrył oddalającego się Emira wraz z towarzyszami, dano znać że Lady R. oddzielona chwilowo od całego oddziału popadła w ręce nieprzyjaciół. Tu artysta dokazuje cudów nie waleczności, ale zręczności i dowcipu aby ją wyzwolić, czego też dokonywa wkrótce przy pomocy francuzkiego kuglarza, z którym się zaprzyjaźnił skrycie, a którego muzułmanie za świętego mieli. Całe towarzystwo odzyskawszy bohaterkę swoją ciągnie już ku domowi, lecz przechodzi jeszcze wiele kolei po drodze, wiele nadzwyczajnych wypadków, aż w końcu wreście wśród okrzyków: niech żyje Francja! powraca do Beyruth nieutraciwszy nikogo ze swoich, wśród strasznych zapasów z turkami. Mieszkają tedy spokojnie w syryjskiém mieście; gromadzą się na przemian u Lady R. lub u państwa Cahlben gdzie znów mają miejsce opowiadania długich historji nowych przybyszów, którzy zawsze zjawiają się dla ożywienia towarzystwa. Pan Cahlben wzór szczerości, szlachetności i odwagi i żona, jego pani Emmelina, pełna powabów niewieścich, zyskali sobie licznych przyjaciół a pomiędzy temi piérwsze miejsce, zajmował artysta i Lady R. ich też zaprosili na chrzestnych rodziców pierworodnego syna. Cały dom przybrał w dniu tym świąteczne szaty, sala jadalna w któréj zastawiono ucztę, pełna była kwiatów. Kamelje rozwijały się w chińskich lub japońskich wazonach, begonje tworzyły kląby prawdziwe, a kwitnące drzewa pomarańczowe ocieniały okna przysłonione jedwabnemi firankami, pachnidła woniały w kadzielnicach i ukryta muzyka odzywała się w oddali, słowem chciano godnie uświęcić uroczystość. Konsulowie zagraniczni i wszyscy europejczycy obecni w Beyruth'cie, późno w noc przeciągnęli ochotę. Zastawiono też stoły dla ubogich różnych wyznań, którzy odeszli życząc w długie lata pomyślności gospodarstwu i ich dziecięciu. Życzenia te spełnić się jednakże nie miały, niezadługo bowiem nieszczęście zawitało w progi państwa Cahlben. Pewną razą wyszli oboje na przechadzkę po nad brzeg morski. Zachodzące słońce odbijając się w falach nadawało morzu podobieństwo do ognistego lawy jeziora, był to cudowny widok usposabiający duszą do rozmyśla-

nia o wielkości Stwórcy. Młodzi małżonkowie szli zwolna trzymając się za ręce i rozmawiając półgłosem o szczęściu swojem, o dziecięciu które już uśmiechało się do nich; niespostrzegli nawet że wkrótce dość oddalili się od miasta, co było rzeczą niebezpieczną dla chrześcijan w owych czasach. Ścieżka się zwąziła, pan Cahlben puścił żonę naprzód, a sam zatrzymał się nieco zaciekawiony jakąś nieznaną sobie rośliną. Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk Emmeliny, która znikła w zaroślach. Pośpieszył w tę stronę i ujrzał człowieka dzikiéj postaci, który zamierzał się ogromnym kijem, aby zrzucić w przepaść żonę Gjaura; ujrzawszy pana Cahlben obrócił się do niego podczas gdy młoda kobiéta zemdlona w rów się staczała. Po chwili nierównéj walki (pan Cahlben albowiem był bezbronny) turek zwyciężonym zostaje a gdy się jeszcze odgrażał, przy pomocy przybyłego wypadkiem w tę stronę europejczyka, pojmany i oddany jest w ręce sprawiedliwości tureckiéj, która mu pewno nie uczyni krzywdy. Pani Emmelina tymczasem wpada w śmiertelną chorobę. „Czasami tylko odzyskiwała przytomność, uśmiechała się wtedy do męża i do dziecięcia, poznawała przyjaciół lecz szybko przemijały te dobre chwile. Ciemna chmura smutku zalegała oblicze, oczy traciły blask swój i przystępowała gorączka pełna strasznych widziadeł, wsród któréj powtarzała się przed oczyma choréj walka jéj męża z muzułmaninem. Zrywała się wtedy z przeraźliwym krzykiem, chciała biedz mu na pomoc i dopiéro gdy zsłabła, upadała na łoże. Stu biednych maronitów wspomaganych przez pana Cahlben modliło się codziennie przed progiem domu o zdrowie jego żony, ale modlitwy ich były daremne, na ziemi męczenników, gdzie Stwórca nieprzestawał powoływać do siebie najmilszych dzieci swoich. Umarła Emmelina pozastawując zrozpaczonego męża i dziecię sierotę. Wypadek ten zakończa opowieść przygód artysty. Wspomina on jeszcze pobieżnie dalsze losy towarzyszy swéj podróży, o sobie zaś powiada tylko, że poślubił Lady R. bohaterkę Libanu i wraz z nią zamieszkał na wschodzie, gdzie obiecuje przyjąć gościnnie każdego eurpejczyka, a zwłaszcza jeżeli tenże jest francuzem, lub też anglikiem, ziomkiem jego żony.



Gromada muzułmanów rzuciła się na bezbronnego starca.



Prace letnie.

ORA ET LABORA.

Módl się i pracuj. *Ora et labora*,
Dzielny to środek na troskę i nudy.
Przezeń odżegnasz tęsknoty upiora,
Rozproszysz widma ułudy.

Lecz twe spojrzenie wątpiące i łzawe,
Mówi: że w pracę niewierzysz i modły;
Goniłeś szczęście, dobry byt i sławę,
A środki te, cię zawiodły.

Bracie! my Ojca takiego dziedzice
Że wszelkie dobro, wszelki dar wspaniały,
Nam, przynależy się, z prawa.
Spojrz tylko bacznie w tę bożą dzielnicę,
Ileż tam szczęścia, piękności i chwały!
Mów, czegóż w niéj nie dostawa?

Czém więc się dzieje że wieczni żebracy
Bluźniercze skargi zanosim do Nieba?
Pomimo naszych modłów, mimo pracy,
Brak nam szczęścia, brak nam chleba.

Bo modły nasze to są z Niebem targi,
To spór, z prawdą, cnotą, Bogiem.
A praca nasza? to dzikie zatargi
Z bliźnim, niestety! jak z wrogiem.

Modlitwa, jest to wszech dusz zjedno-[czenie,
W bożéj miłości i woli,
Praca zaś, boskich zamiarów spełnienie
Szczęściu wszystkich ludzi gwoli.

Módl się i pracuj. *Ora et labora.*
Chciéj, niech nastąpi boże królowanie.
A wtedy pychy, krwi, chciwości zmora,
Ludzki ród dręczyć przestanie.

Julja Janiszewska.

DO REDAKTOREK KÓŁKA DOMOWEGO.

Warszawa 24go Sierpn'a 1865 r.

W piśmie waszém, które przeznaczone ku pożytkowi i rozrywce polskich rodzin, spostrzegam jeden niedostatek. Zajmuje się ono dziejami, naukami przyrodzonemi, poezją, moralnością, a pominęło rzecz najważniejszą dla rodziny, wychowanie. Prawda, że łatwiéj napisać rozprawę o stylu, o pochodzeniu Gallów, o najściu Gotów i t. p., niż wydać dobrze opracowane i do potrzeby nieumiejętnych matek zastosowane dziełko: o pielęgnowaniu fizycznéni, prowadzeniu religijném i moralném dzieci.

Może niejedna matka obrazi się tém wyrażeniem *nieumiejętne*, a przecie tak jest, wyznaję to ze wstydem i pokorą. Każdy twór boży umie chować i wychować swe dzieci, człowiek tylko, człowiek sam jeden tego nie potrafi! Ztąd takie ogólne rozprzężenie w społeczeństwie, taki w pojęciach obłęd, tyle zepsucia téj pięknéj a szlachetnéj natury ludzkiéj, nieszczęść tyle! dla czego? Bo jesteśmy źle wychowani, a dzieci nasze chowamy jeszcze gorzéj.

Źle wychowani przez rodzinę, którą nawzajem źle wychowała społeczność sprowadzona z dróg prostych przez pojęcia swego wieku, przez skażone obyczaje, niedorzeczne nawyknienia, błędny tór piśmiennictwa i mylne dążności sztuki, tak, raz jeszcze powtarzam: w tém wszystkiém co stanowi cywilizacją dzisiejszą, tę szkołę narodów, jest tyle błędu, kłamstwa, udania, pijanéj fantazji, zastarzałych przesądów, iż zastanowiwszy się nad tém bacznie, wznosim dziękczynnie oczy do Nieba za to, że złe wśród nas takie tylko a nie większe.

Jednak poprzestać na tém, zaspokoić się tą myślą, że przy tylu pokusach mogliśmy stać się gorszymi jeszcze, niepodobna. Owszem, staraniem naszém być ma rozbrat ze złem które dręczy ducha ludzkości, *to wojsko szatanów* co się wcieliło w społeczność wygnać tylko może Chrystus, a więc udajmy się do Niego.

Nie sądźcie abym ztąd wzięła pochop do wysyłania was na pustynię lub oddawania dzieci waszych do kollegium jezuickiego na nauki. Mają swą zasługę pustelnicy, a światłe duchowieństwo przysłużyło się Europie licznemi zakładami naukowemi, lecz ja dla rodzin naszych nie tego na dziś pragnę; ja życzę wam i sobie jako szczerze miłująca was siostra, dobrego wychowania domowego, *początków dobrych* jak to mówią.

Na to potrzeba niewiele. Trzeba tylko aby małżeństwa zrozumiały świętość swojego stanu. Chrystus, który nic niepowiedział bez znaczenia, zamienił w Sakrament pożycie dwóch kochających się osób. Zaiste, łaski i miłości musi tam być obfitość gdzie się ma zawiązać rodzina. Ażeby potrzeby jéj opatrzyć, aby gorycze, trudy i boleści ojcowstwa i macierzyństwa z pokojem a nawet radością znosić, na to mężowi i niewieście łaska boża koniecznie w pomoc przyjść powinna. Pod takiéj tylko łaski wpływem, rodzice chrześcijańscy zrozumieją że ten duch czysty, anielski może, wstępujący w ciało ich dziecięcia, uczczon przez nich i ukochany być ma inaczéj jak dziedzic imienia, błędów i upadku rodziców. Jest to istota nieśmiertelna, myśląca, zwykle do wszystkiego co piękne, święte a proste, sposobna. Lecz z mlekiem już matek, z piérwszą ojca pieszczotą, ciemnych nianiek przysługą, dziecię zaczerpuje powoli: pychy, złości, łakomstwa, gniewu. Jeszcze nie dorosło, a już wszystkie siedm grzechów śmiertelnych wprowadziła rodzina i społeczność do téj tak niedawno czystéj duszy. Dopiero walka przeciw złemu któreśmy zdziałali sami, dopiéro wyrzuty i kary, żale i narzekania zwykle na drugich i na Pana Boga, którego dzieło takeśmy

szkaradnie zepsuli. Patrząc na te, tak zwyczajne wśród ludzi zdarzenia, można bardzo oduczyć się pychy; jakąż bowiem ułomną człowiek istotą być musi, kiedy najczystsze najsilniejsze serca ludzkiego uczucie, miłość rodzicielska, tak często i tak bardzo błądzi.

— Więc zapytacie mię, do czegoż zmierzasz? Czy przynosisz nam zaradcze środki na to złe na które tak powstajesz? czyś odkryła jaki nowy sposób wychowania dzieci, nową do mądrości drogę?

— Nie, panie moje, nowych sposobów jeszczebym się więcéj obawiała niż starych. Byłoby to coś nakształt kodeksu Napoleona, podług którego syn jest rówiennikiem ojca, a tu stare prawo boże mówi: „Czcij ojca i matkę twoją.“ I tym samym wyrazem *czcij*, naucza rodziców że mają być *czcigodni*.

I do mądrości nowych nieznam ścieżek, wiem tylko że: *bojaźń boża początkiem jest mądrości*. Chodzi mi téż o ten wszechmądrości początek w każdym stosunku naszym, domowym czy społecznym; wszakże nie czuję się w sile dawać młodym i starszym stadłom nauki od siebie. Ani téż śmiałabym pisać o wychowaniu dzieci, (lubo kilkanaście lat życia mego poświęciłam tak zwanemu: kształceniu młodzieży). Jéstem przekonaną że w tym przedmiocie pracować może korzystnie matka, lecz matka bardzo cnotliwa, pobożna i światła, oraz każdy nauczyciel i nauczycielka, jeśli z powołania i długo zawód swój wykonywali. A nawet tak dalece jestem zuchwałą, że śmieję się z wszelkich moralnych nauk i powiastek dla dzieci pisanych przez ciocie, siostry, wujenki i t. d, przyjaciół i filozofów, słowem przez wszystkich którzy ciężkiéj wychowania dzieci nie poddawali się pracy. Tak samo jak niewierzę aby dla ludu wiejskiego mającego właściwe sobie wyobrażenia i mądrość, ktoś z klass wyższych, co dobrego napisać umiał, chyba że całe swe życie z tym ludem przepędził.

List mój ten jednak nie jest bez celu; jeśli Kółko swoje mi karty otworzy, myślę dawać wyciągi z arcydzieł o wychowaniu traktujących wybierać co najpożyteczniejszego, zacząwszy od piérwszych lat dziecięcia i kolejno aż do młodzieńczych lat doprowadzić te wyciągi; może to będzie z korzyścią dla niejednéj matki lub panny zabierającéj się do stanu małżeńskiego. Długich rozpraw czytać i pisać nie lubię, postaram się przeto aby nadsyłane przezemnie do waszego pisma artykuły jasne i zwięzłe być mogły (2).

J. Janiszewska.

LISTY Z PODRÓŻY.

VIII.

(Dokończenie).

Prawdziwy cud ludzkiego pomysłu, którym Anglja słusznie się chlubi, jest jej sławny (z pierwszéj wystawy całego świata) pałac kryształowy. Umieszczony dziś nieopodal od Londynu, na wzgórzu, wśród przepysznych ogrodów, wygląda zdala, gdy go słońce swojemi oświeca promieńmi, jak djamentowy strumień wśród szmaragdowéj łąk oprawy. Jestto niby jakaś kaskada z miliona pryzmatów upleciona, z których każdy lśni wszystkiemi tęczy kolorami, migocze, jaśnieje, olbrzymim pożarem płonie. Ale bo też to i przestrzeń nie mała, którą zajmuje ta pełna fantazji budowa, coś około 900,000 stóp kw.; to prawie cała ulica lub plac publiczny nie jednéj stolicy. Wewnątrz wiązania, które na rysunku (1) rozpoznać można, pomalowane są niebiesko, co w perspektywie widziane rozlewa jakiś błękit uroczy wśród tych sklepień na sto stóp przeszło się wznoszących. Jak zacząć opis tego co się znajduje w kryształowym pałacu, kiedy od razu nastręcza się pytanie czego w nim nie ma? To cały światek maleńki, mieszczący wszystkiego po trosze, co się na zwyczajnym mieści świecie. Chcesz wiedzieć jak wyglądają innych stref ludzie? Masz ich całe grupy doskonale z drzewa kolorowanego zrobione, w różnych postawach, jakie według swych zatrudnień przybierają, a w około roślinność ich stron rodzinnych, zwierzęta z któremi toczą walki, słowem całe ich życie jakby na gorącym schwytane uczynku. Chcesz rzeźby starożytnéj lub nowożytnéj? wszystkie tam arcydzieła w najdoskonalszych znajdują się odlewach. Architektury téż wszelkiéj próbki, tak że rozpatrując się w niéj, czujesz się przeniesiony w czasy odległe, w kraje nieznane. Tu Assyrja, tam Egipt, daléj starożytna Grecja uprzytomniona; z owego sławnego pałacu Alhambry, w którym duch maurytański na ziemi hiszpańskiéj się objawił, jest kilka sal naśladowanych wiernie z całym wykwintem złoceń, marmurów, z całym

(2) Ponieważ dawno już uznałyśmy ważność podnoszenia w naszém piśmie kwestji pedagogicznych, przeto z wdzięcznością przyjmujemy zapowiedzianą pracę p. Janiszewskiéj i rozpoczniemy drukować ją niebawem. (*Przyp. Red.*)

(1) Będzie umieszczony w następnym zeszycie

zbytkiem przepychu wschodniego. A wszystkie te sztuki zabytki i kosztowności oprawne w kląby drzew, przetykane szemrzącemi fontannami, co razem uroczy daje obraz. Na drugiém piętrze jest dość duża obrazów galerja, na dole przepyszna sala na koncerta, która dwa tysiące śpiewaków pomieścić może. Naprzeciwko ustawiono mieszkanie Szekspira, dom cały, który tam w tym ogromie jak dziecinna zabawka wygląda; w nim pokazują różne pamiątki po poecie, który ma także pomnik przed pałacem. Daléj dział osobny zawiera kosztowności zabrane w Pekinie z pałacu cesarza chińskiego w czasie wyprawy z 1859 roku. Są tu różne przedmioty stroju i nabożeństwa obojga monarchów Państwa Niebieskiego, futra, porcelana, naczynia cenne; pomiędzy innemi urna z chalcedonu pokryta kameami, oceniona na 40,000 funt. sterl, prezenta otrzymane niegdyś w darze od monarchów europejskich, a co najbardziéj w podziwienie wprawia, to wielka ilość rzadkiéj piękności klejnotów z których np. jeden szafir ogromny bo ważący 742 karaty, na 160,000 f. ster., to jest około stu miljonów złp. oszacowany. Nie zapomniano także urządzić tu wygodnéj czytelni, tak jak to Anglicy urządzać umieją, przytem jest biblioteka i gabinet historji naturalnéj, restauracja i bufet z przekąskami, daléj znów sklepy i sklepiki, całe bazary gustownie przybrane pełne drobnych i większych przedmiotów, przepyszne składy szkła, porcelany i owych sławnych igieł angielskich. Tu zwykle przychodzi się umysłowi wypocząć i kupić cokolwiek na wspomnienie kryształowego pałacu. Można też widzieć za osobną dopłatą kosmoramę i panoramę.

Zaraz obok wielkiego gmachu są znakomicie urządzone cieplarnie, pełne drzew i krzewów najrzadszych i wieża na którą dla rozległego widoku wstępują. Dół pałacu zajmuje nieustająca wystawa różnych wyrobów angielskiego przemysłu. Opisać wrażenia jakie całość na mnie zrobiła nie potrafię, dodam tylko żem wyszła oczarowana, do czego nie mało się przyczynił wyborny koncert instrumentalny, któregośmy przez parę godzin wśród tych cudów słuchali. Chciawszy wszystko obejść i zobaczyć, tyle się umęczyć można, że dla osób wątłych są do najęcia wózki ręczne, w których je obwożą. Jedna rzecz tylko mnie zdziwiła, żem nigdzie nie spotkała wizerunku Paxtona, owego sławnego ogrodnika, co piérwszy dał pomysł na ów gmach ze szkła i żelaza. Być może wszakże że jest, tylko uszedł mojéj uwagi.

Gdyśmy wyszli do ogrodu, znowu nas nowe ogarnęło zachwycenie, bo ze wzgórza na którém staliśmy, najpiękniejszy przed naszemi oczyma roztaczał się widok. W głębi wśród pól zielonych, wznosiły się smukłe wielkich fabryk kominy, niby wieże stróżujące dzisiejszych potęg siedliska; po lewéj stronie jakaś osada czerwonemi dachami swych domów świeciła, z drugiéj sunął pociąg kolei żelaznéj z długim pary warkoczem, a w około było tyle drzew, kwiatów, posągów, tyle cienia, woni i chłodu od pryskających wodotrysków, tyle swobody na miękkich kobiercach trawników, że się aż temu wszystkiemu radowało serce. Stanęły mi przed oczyma Wersalskie ogrody z tyle podziwianemi ich wodami, na których puszczenie krocie ludzi się zbiega. Piękne to prawda, ależ czy te ogrody i te wody co tamtym ustępują? Wersal, który ktoś słusznie grobem przeszłości nazwał, jest rzeczywiście jéj przedstawicielem. Stworzyła go wola potężnego monarchy i pieniądze zebrane przez skrzętnego ministra, chociaż jednak Colbert wołał na intendentów prowincji, żeby się starali jak najwięcéj zebrać pienędzy, nie przywodząc ludu do ostateczności, historja podatków we Francji dziwnie rozczarowywa do tych olbrzymich pomników, które na podziw pokoleniom następnym jéj królowie, a mianowicie Ludwik XIV, po sobie zostawili. Piękność i wspaniałość ciemnieje, skoro przyjdzie na pamięć ile do niéj łez ludzkich przyschło. Że tylko weźmiemy jeden podatek od soli (gabelle) który czterykroć więcéj ubogiego niż bogatege obarczał, bo mu nawet nie wolno było użyć do potraw téj odrobiny soli, która mu od solonych ryb lub mięsa w naczyniu pozostała. Pr. Laboulaye w Paryżu téj zimy, wśród wykładu swego, skreślając wymownemi słowy srogość z jaką ten podatek za Bourbonów ściągano i cały ciężar jego zwalony na ubogich, podczas kiedy bogaci używali licznych wyłączeń i nawet mogli kupować sól taniéj, przytoczył przykład dwóch siostr żyjących z pracy rąk w pewném miasteczku, w którém sprzedaż soli odbywała się tylko co Sobotę. (Nie wolno bowiem było prywatnym handlować solą i przedawano ją tylko w magazynach rządowych). Gdy wspomnionym siostrom zbrakło soli we Czwartek, użyły do potraw téj, która im na dnie baryłki po zjedzonéj rybie morskiéj pozostała. Postąpiły z największą tajemnicą, było to bowiem przestępstwo przewidziane i srodze obostrzone przepisami. Jednak mimo ich wielkiéj ostrożności, były dostrzeżone i podane do kary pieniężnéj, która po obliczeniu przeniosła dwa razy ich mienie. Po wielkich staraniach i protekcjach wzięto nareście na wzgląd ich ubóstwo i karę do kilkudziesięciu franków zmniejszono. Lecz nie dość że były kary pieniężne. Więzienia przepełnione stały ludźmi, których przestępstwo ograniczało się jedynie na tém, że z jednéj gminy do drugiéj przemycali kilkanaście funtów soli. W tych czasach bowiem decentralizacji i przywilei, gdzie każda prowincja według innych praw się rządziła i nie jedna mogła według uczynionych sobie ustępstw, taniéj od sąsiadów sól przedawać, biedacy którzy innéj okrasy nad sól nie znali, dla których ona była jedyną łakocią i przyprawą, skradali się z narażeniem bez-

pieczeństwa własnego do miejsca gdzie ją można było za tańsze nabyć pieniądze. Kto został schwytany na gorącym uczynku, a nie miał czém kary zapłacić, szedł na galery na długie lata....

Brano tedy pieniądze gdzie się wziąść dały, stawiano pałace, urządzano wodotryski, sadzono ogrody rozkoszne, gdzie możni tego świata bawili się w pasterzy, w ogrodniczków, w mleczarki. Była to nieustająca maskarada, pełna wesela i żartów, wśród któréj złoto i kwiaty wydzierały sobie panowanie, I teraz jeszcze Wersal imponuje swoim ogromem, a bardziéj jeszcze tém, że się stał przybytkiem poświęconym wszystkim sławom Francji. U wnijścia jest napis: *a toutes les gloires de la France.* i Ludwik XIV w przepysznym spiżowym posąg upostaciowany, stoi tam rozkazujący, dumny na swym dzielnym rumaku, jako punkt środkowy, koło którego w stojących naturalnéj wielkości posągach, grupuje się cała kohorta mężów, co stali się chlubą narodu francuzkiego. Ale porzuciwszy tę stronę pałacu jaśniejącą jako muzeum, cóż daléj zobaczymy w tych ogrodach i parkach, których krańce przybierają nazwiska małego i wielkiego Trianon? Tu wyschła lub zarosła fontanna, tam zakątek niegdyś zapewne na rozkoszne przeznaczony dumania, dziś oddany zaniedbaniu. Mimo w ogóle starannego utrzymania przez dzisiejszą administrację, wśród tłumów wesołych co się tam na fajerwerki i puszczenie wód zbiegają, czuć że to jest życie nowe, zupełnie tym miejscom obce, co wre jakby na zagłuszenie minionego, na ostateczne spłoszenie cieniów tych, co tu prześli i już nie wrócą. Przeciwnie rzecz się ma w kryształowym pałacu Sydenhamskim. Tu wszystko w zgodzie z sobą, młode, potężne jak dźwigająca się do życia chwila; to świątynia którą wzniosła dzisiejsza potęga: dobrowolne stowarzyszenie. Cała ta więc budowla jasna i śmiała wygląda jak myśl młodzieńcza nie troszcząca się o przeszłość, któréj nie zna, o przyszłość bezpieczna, bo w nią wierzy. W około niéj matka natura rozrzuciła wieńcem przepyszne ogrody, wywołane czarnoksięzką rószczką kapitału, który obracany umiejętnie, wszędzie dobrobyt mnoży, a nie żeby miał pozbawiając ogół, dawać go niektórym.

Tak rozmyślając, zejdźmy po tych wspaniałych trawnikach, jakie w Anglji tylko, dzięki klimatowi zapewne, utrzymywać umieją i które bez najmniejszéj przesady można do miękkich porównać kobierców. Walce opatrzone w kosy, jak brzytwa cienkie, często ścinają wszystkie niecierpliwe trawki, któreby zbyt pohopnie nad drugie wybiegły, ztąd ta równość aksamitna tych zielonych przestrzeni służących za tło marmurowym posągom, mglistym wodotryskom, altanom z krzewów różanych. Im daléj od pałacu, tém bardziéj wzgórza ku wodzie się zniżają. Tam po za krętemi ścieżkami, wśród mostków tajemniczych i klombów rysunku Paxtona, nowa pokazuje się osobliwość. Na wyspach i wzgórzach przeciwne stanowiących wybrzeże, to pnąc się na drzewa, to pełzając lub wychylając się z wody, pokazują się olbrzymie zwierzęta przedpotopowe. A więc tu Mosossurus, tam Pterodactylus, owdzie Plesiosaurusy lub Labyrintodony, cały świat stworzeń nieznanych kształtów, a więc grozę i podziw budzący rozpierzchł się z kamienia kuty, w pełnym fantazji obrazie, jakiego nigdzie zapewne dotąd nie stworzono. Naprzeciw są pokazywane w przecięciu pokłady geologiczne z jakich się grunt angielski składa; wszystko to, równie jak i groty z naśladowaniem stalaktytów, urządzonem zostało pod dyrekcją profesora Owen.

Gdy powrociwszy, wynurzaliśmy uwielbienie nasze towarzystwu angielskiemu, które w tym samym *Boording house* co my mieszkało, zadowolenie jego było wielkie, duma bowiem narodowa mile połechtaną została. Lecz warto tu opowiedzieć co to jest taki *Boording house*, bo domów zajezdnych tego rodzaju nawet w Paryżu nie ma i francuzkie *maisons meublées*, jakkolwiek mają różne mieszkania we wszystkie wygody opatrzone i stół wspólny do którego jeżeli ich wola, schodzą się lokatorzy, jednak daleko im od téj barwy rodzinnéj serdeczności jaka angielskich współmieszkańców łączy. Wprawdzie ci mają salon wspólny, do którego kilka razy na dzień się schodząc i przyjmując w nim swoich gości, już tém samém zawiązują przyjaźniejsze stosunki. Następnie gromadzi ich także u jednego stolika herbata. Aby dać wyobrażenie zakładów tego rodzaju, opiszę ten w którym mieszkałam, wszystkie bowiem są do siebie podobne. Dom wązki a wysoki, jak większa ich część w Londynie, nie miał żadnego znaku szczególnego, tylko na drzwiach wypisane nazwisko właścicielki czyli przewodniczki zakładu *Miss Wormlejghton*. Kobieta nie młoda, szpetna i bezmężna, ale z dziwnie uprzejmym wyrazem twarzy, z ciągłą bacznością na wygodę a nawet i przyjemność lokatorów, pospołu z dwoma służącemi tylko i posługaczem, wystarcza do utrzymania w ładzie zakładu. Ale bo też służebne angielskie słyną pojęciem obowiązków, roztropnością, stosownem do zajmowanego położenia wykształceniem. Anglicy zwykle w słowach oszczędni, do służących odzywają się też bardzo lakonicznie, a ci nawykli odgadywać prawie w spojrzeniach wolę państwa. Na ten stosunek cichy, miły, opiekę troskliwą z jednéj strony, usłużność pełną względów z drugiéj, patrzałam, wyznaję, z zazdrością. Tego się u nas nie spotyka. Przy nędznéj oświacie naszego ludu, wyradza się tylko hardość fałszywa, obok najwyższego zaniedbania obowiązków; ztąd ciągłe rozjątrzenie stron obydwóch i życie robi się gorzkie dla drobnostek, o których wspominać nie warto. Lecz zostawmy ten czarny obraz gdzie tonie pogoda nie jednego dnia wszystkich naszych gospodyń, a wróćmy do

miss Wormleighton, która o dziewiątéj z rana w sali jadalnéj na dole, jak zwykle w Anglji będącéj, wszystkich swoich lokatorów przy herbacie gromadzi. Olbrzymi, przepyszny chléb angielski, którego białości i smakowi żaden nie dorówna, leży obok masielniczek, daléj na talerzach z drabinkami pozatykane za nie stoją grzanki, jest nawet kawa dla amatorów, a za nadejściem wszystkich, wznoszą jaja na miękko i kurzące się na półmiskach jakieś plastry słoniny. My nie przyzwyczajeni do takiéj potrawy zaczynamy sobie rozmyślać, że już tego to chyba jeść niepodobna, jednak skosztować warto, a po skosztowaniu pokazuje się że ta chrupiąca na pół mięsem przerastała słonina, jest wyborna, zdrowa i skropiona kilkoma filiżankami herbaty, nie mało się przyczynia do odżywienia sił tak potrzebnych ciekawym wędrowcom. Następnie już na pierwszém piętrze w sali bawialnéj, całą godzinę od drugiéj do trzeciéj stała przekąska, na którą się przychodziło jak kto mógł. Chléb, masło, pekelfleisz lub jakie inne zimne mięso, sér *chester* doskonały, co wszystko zapiwszy szklanką sławnego na całą Europę porteru, wcale się gładko przemykało przez gardło. Na obiad schodziliśmy się o szóstéj do sali jadalnéj. Wspomniane dwie służące, których skrzętności napatrzeć się nigdy nie mogłam, czyściutko ubrane, w malutkich czepeczkach, młode i przystojne, a takie skromne i przyzwoite, przynosiły naprzód zupę w wazach porcelanowych. Z tych zup najłagodniejsze wypalały podniebienie, tyle w nich było ostrych przypraw; mimo to byli tacy, co jeszcze dosypywali pieprzu czerwonego czyli tureckiego, który tłuczony, obok soli zwykle we flaszeczkach na stole stawiają. Drugie danie stanowiły mięsa. Na dwóch półmiskach cynowych z pokrywami wnoszono dwie olbrzymie pieczenie odmiennego gatunku, lub też na jednym był rosbeef a na drugim potrawa z drobiu; ta ostatnia wszakże rzadziéj, wołowina bowiem i soczysta baranina stanowiły podstawę obiadów naszych. Jedno mięso krajała sama gospodyni, drugie na drugim końcu stołu siedzący lokator irlandczyk, który nie wiedząc jak nam wyrazić swoje sympatje, dokładał po trzy razy przynajmniéj szérokie plastry rozbeefu na nasze talerze. Kiedy bowiem we Francji uprzejma i wygadana gospodyni bolesne rzuca spojrzenia na stołowników, którzy odważnie zamiast jednego, dwa cieniuchne plasterki mięsa zabierają z półmiska i niby zniechcenia odsuwa od zbyt pijącego wino, które dawane ma być *a discretion*, tutaj, nawykli do dobrych apetytów angielskich, dają więcéj niż największy żarłok przejeść może, a cudzoziemcem zajmują się wszyscy, żeby mu na niczem nie zbywało. Zapomniałam że znowu przynosili półmisek takich samych, jak rano, plasterków słoniny, które dokładają do pieczystego osoby lubiące jeść tłusto. Na czterech mniejszych półmiskach pośrodku stołu stawiano jarzyny, których smaku zachwalać nie mogę, jakkolwiek bowiem były to gatunki wyborowe, ale ta kapusta, kalafiory i t. p. gotowane na wodzie, niczem nie polane tylko zmieszane z sosem od mięsa, spożyć się dawały. Gdy to wszystko uprzątniętém zostało, następowało trzecie danie legumin; wnoszono ich trzy co najmniéj. *Plum-pudding*, ciasto kruche z jabłkami i legumina z rumbarbarum. Każdy jadł, którą wybrał sobie lub wszystkie trzy po kolei. Ja z pewném przerażeniem próbowałam rumbarbarowego melszpeizu; użyte są do tego grube łodygi rośliny, z wierzchniego naskórka obrane, które się krają jak boćwina, a mają smak mocno kwaskowaty, jaki przy dobrém ocukrzeniu przyjemnym się staje i dodać muszę, że potrawa wcale nie jest *niebezpieczną*. Po skończeniu obiadu, zwykłym angielskim obyczajem my kobiéty wstawałyśmy piérwsze, a mężczyzni zostawali dla wypalenia cygar. Palić przy kobiécie jest tu uważane za wielką niegrzeczność, jakiejby się nigdy nie dopuścił człowiek dobrze wychowany. W ogóle anglicy nie lubią palić po wszystkich miejscach jak to zwykle bywa na stałym lądzie. Nawet w klubach, gdzie wyłącznie sami bywają mężczyzni palą jednak tylko w fajczarni. W żadnym ogrodzie publicznym a tém bardziéj też wśród zabudowań kolei żelaznéj, nie poczujesz dymu cygara, co ogół bynajmniéj za uciemiężenie nie uważa, a ludzie chorzy lub też ceniący świéże powietrze widzą w tém dla siebie opiekę prawa.

Po skończeniu palenia panowie przychodzili do nas do salonu i wkrótce podawano herbatę, do niéj chléb stokroć smaczniejszy od niejednych bułek, cienko krajany a jeszcze cieniéj smarowany masłem, którego już nikt jeść nie był w stanie. Przy herbacie tworzą się partje gry, zawiązuje się rozmowa zajmująca między lokatorami z różnych stron przybyłemi. Mieszkali w czasie mojéj bytności bardzo przyjemni państwo, świeżo z powrotem z Indji, gdzie on sam był pułkownikiem, daléj kilka wdów i nie młodych panien. Brukselczyk przybyły na kilka miesięcy do Londynu dla interesów, młoda paryżanka chcąca nauczyć się języka, wspomniony już irlandczyk i jeszcze jakiś podżyły jegomości jakiś młody co chodził do wielkiego bióra handlowego w City itd. itd. Tak różnorodném było towarzystwo, któremu światowe uobyczajenie nadawało barwę równości. Zdarzyło się że ktoś jeszcze przyszedł w odwiedziny do którego z lokatorów, co ożywiało rozmowę, a gospodyni spieszyła podać mu herbaty. Gdy mi się raz wypytywano jak mi się Anglja podobała, wyraziłam mój podziw dla niéj, ale zarazem dodałam że nie mogę pojąć majoratów i że sądzę że się ich społeczeństwo w tych pojęciach kiedyś przerobi i tę tak rażącą nierówność w rodzinach odrzuci.

— Prawo starszeństwa! zawołano zewsząd na mnie, a to chluba nasza! starsi synowie wielkich rodów są społeczeństwa filarami i mu-

szą je godnie, pod utratą czci, przedstawiać. Młodsi niech pracują, niech się dobijają karjery, wszak mają do tego pole otwarte, a pułkownikowa Gordon gorliwa katoliczka ze Szkocji, dodała z mocném przekonaniem: „Sam Bóg chce żeby byli bogaci i ubodzy, bo kiedy są, to widać z jego woli, tylko trzeba żeby jedni i drudzy pełnili swoje obowiązki. Bogaci nie są niemi godnie, tylko wtedy kiedy o młodszéj braci mają opiekę. Ubodzy powinni przyjąć z pokorą dolę, którą im opatrzna udzieliła ręka. Ubogich jest dosyć w każdém społeczeństwie, lecz jakżeby byli bogacze, gdyby nie było majoratów? I znów zawołano chórem: „Myśmy z nich pyszni, oraz i z potężnego wpływu jaki one dają arystokratom naszym.“

Milczeniem poszanowałam te opinje, ale nie mogłam na nie przystać w zupełności i uśmiechnęłam się w duchu na to pojmowanie woli Przedwiecznego, którą każdy według swego sposobu myślenia tłomaczy. Pani Gordon wierzyła najmocniéj że Bóg chce aby byli bogaci i ubodzy, mnie zaś zdawało się że wszelkie kasty, hierarchje i koterje to pomysł czysto ludzki, że Bóg chce szczęścia dla wszystkich, bo równe wszystkim daje prawa, na każdém czole jednakie znamię godności naznacza, a często w najniższych warstwach społecznych zrodzonego, aureolą genjuszu otoczy. Ułatwiono nam jeszcze zwiedzenie rzeczy dla nas nieznanej, to jest gmachu jednego ze stowarzyszeń klubowych *Reform club*. Każde takie towarzystwo ma swój pałac osobny. Najpiękniejszy podobno jest *jockey club*. Ten, o którym powyżéj wspominam, ma niby to na celu reformy społeczne i polityczne, ztąd też zaraz u wejścia zwracają uwagę portrety i posągi ludzi, co się odznaczyli nowemi, mającemi na celu uszczęśliwienie ludzkości pomysłami, a między innemi O'Connela, lecz stowarzyszeni sami siebie podobno w guście narodowym do mocnych napojów zreformować nie mogą, sprowadzają hurtem wina wyborne i dlatego że tanie, często się niemi na wspólnych obiadach raczą tak, że ich prawie bezwładnych po północy rozwożą do domów. Wnosić ztąd można że tacy reformatorowie nie zajdą daleko.

Mężczyzni, szczególniéj też nieżonaci przepędzają dnie całe w klubie Stosownie urządzony telegraf donosi im, o czém w każdéj chwili mówią w Parlamencie. Biblioteka zaopatrzona w książki doborowe i wszystkie gazety. W czytelni są wspólne stoły, odosobnione biórka, kanapki, fotele najwygodniéj urządzone; aż się chce pracować, lub.... drzémać, co też uważałam że nie jeden czyni. Na osobnych stołach leżące papiéry listowe, i pocztowa skrzynka w sieniach, ułatwiają pisanie korrespondencji. Kąpiele są na zawołanie, jedzenia najwytworniejsze na pierwsze zachcenie podane, bo już to chwałą klubu, jego zbiorowych starań celem jest kuchnia i *reformatorzy* mają przepysznie urządzoną restaurację do pokrzepiania swych dobroczynnych dla ludzkości zamiarów. Fajczarnia miękkiemi otoczona sofami, ma niezliczoną liczbę dzwonków komunikujących z salą służby, żeby z każdego miejsca nie nużąc się, nie zmieniając pozycji, módz zadzwonić i tém samém widzieć szybko zaspokojone żądanie swoje. Słowem, na każdym kroku wygoda czyli *komfort* ze wspaniałością się łączy.

Tak tedy obejrzawszy pobieżnie Londyn i unosząc miłe wspomnienie uprzejmości nie głośnéj słów potokiem, lecz odznaczającéj się na każdym kroku troskliwą opieką o nieświadomych cudzoziemcach, wyjechaliśmy nad wieczorem dnia ciepłego i słonecznego jakich tam mało, który ozłocił wody Tamizy cudownemi malowaniami światła i cieniów, wystroił parki wspaniałe i lica powabnych amazonek rumieńcem okrasił. Przy pożegnaniu najmniéj mówiący z małomównych znaleźli dla nas słowa życzliwością wymowne, że bylibyśmy się prawie obejrzeli z tęsknotą, gdybyśmy za czém innem jak za strzechą rodzinną tęsknić umieli. Stacja Wiktorja była bardzo nas blisko, zwłaszcza taką nam się wydała po tych przejażdzkach w różne punkta miasta, co po parę godzin trwały i wszelkie wyrachowania czasu psuły nam nieświadomym mieszkańcom malutkiéj Warszawy; wkrótce też wielka stolica zniknęła nam z oczu, skoro nas pociąg kolei żelaznéj wplotł w warkocz żywych istot, które miał na brzeg morza wyrzucić. Wspomniawszy na kłopociki które naszemu przyjazdowi towarzyszyły, obiecaliśmy sobie przestrzedz znajomych, aby pamiętali, że się z Paryża do Londynu, na dwa punkta oddalone od siebie przybywa, według tego w jakiéj się ma stanąć dzielnicy. Stacje Wiktorja i London Bridge, jakkolwiek w najlepszych świecie zamiarach, w dwóch przeciwnych stronach miasta przybyłych podróżnych składają, mogą przecież stać się niewinną przyczyną gorzkiéj dla nich chwili, jeżeli, jak to się nam zdarzyło, jedna porwie tłomoczki a druga osobę.

J. Śmigielska.

Wiadomości Literackie.

Les Mondes imaginaires et les Mondes réels (Światy wyobraźni i światy rzeczywiste). *Paris 1865.*

Pod powyższym napisem wydał znowu p. Kamil Flamarion, o którego interesujących pracach wspominano już w Kółku, nowe

dziełko popularno-astronomiczne. Są to podróże naukowe i fantastyczne, racjonalne i humorystyczne, po owym bezgranicznym archipelagu gwiazd, którémi według słów naszego wieszcza z Czarnolasu: *Pan Bóg tak pięknie Niebo ustroił.*

Znajdujemy tu dalszy ciąg poprzedniéj pracy tegoż samego autora, którą w sprawozdaniu poznali niedawno czytelnicy Kółka pod tytułem: „O wielości światów zamieszkiwanych," (*De la Pluralité des mondes habités*).

Człowiek podczas istnienia swego na ziemi, z któréj czerpie materjał do własnych kształtów, pozostaje w zupełnéj niemożności unoszenia się na skrzydłach fantazji po nad znane sobie przedmioty, nie jest on w stanie wytworzyć najskromniejszego wyobrażenia postaci, do któréj składu by nie wchodziły wrażenia czysto ziemskie, nabyte z obserwacji naszego planety. Jeżeli popuści wodze rumakowi wyobraźni i chce wzlecić ponad wyżyny, by utworzyć nadziemskie fantastyczne postacie, wówczas powstaje w sferze myślenia bezład, prawdziwy chaos, z którego nie jest w stanie wypłynąć nic innego, nad jakiś złudny potwór, a przypatrzywszy się temuż bliżéj, z chłodnym rozmysłem, dopatruje znowu składowe części zaczerpnięte z tejże saméj ziemi, po nad którą nie wolno nam wzlatywać bezkarnie, pod zagrożeniem połamania skrzydeł rozognionéj fantazji chcącéj do gwiazd dopłynąć. Z drugiéj strony widzimy w całéj przyrodzie zadziwiającą rozmaitość, niema na drzewie dwóch listków zupełnie równych i jednakich i ta okoliczność wzmacnia jeszcze niemoc wrodzoną naszego umysłu, nie dając mu nigdy sposobności poznania bliższego tworów zamieszkałych na rozmaitych ciałach niebieskich.

Dziełko o którém wspominamy obecnie, najmocniéj uwzględnia dopiéro co wyrzeczone uwagi. Oddając całą sprawiedliwość bogactwu wyobraźni wytwarzającéj nadziemskie światy w umyśle ludzkim, wykazuje zarazem słabość tych utworów myśli naszéj, obok rzeczywistych dzieł przyrody. Ciekawą zaiste przedstawia naukę, przegląd systematów zbudowanych przez człowieka, wśród niezbadalnych obszarów niebieskich. We wszystkich okresach życia ludzkości, myśl jej na skrzydłach rada była unieść się w niebiosa. Lecz jeżeli myśl ta starała się wydostać po za obręb czysto duchowy i stwarzać formy fizyczne, materjalne, wówczas rodziła dziwne widziadła; były to albo upostaciowane pojęcia, albo przeobrażone nieco ziemskie istoty, albo wreście jakieś szczególne dziwolągi, tém potworniejsze im lotniej rozbujała się fantazja.

Przed tym jednak historycznym szkicem, jak w różnych epokach pojmowano życie na ciałach niebieskich, daje nam autor w pierwszéj części swojéj pracy, opis naukowy, przystępny, gwiazd dotąd znanych, wedle odkryć jakie astronomja poczyniła, przedstawia nam widoki rozmaitych gwiazd, w tym razie gdybyśmy byli w możności spoglądać na nie z różnych punktów archipelagu niebieskiego. Daléj rozbiera pytanie o typach ludzkich na rozmaitych światach, o rozliczności kształtów o pewnych wpływach ciekawych sił przyrody, o początku i końcu światów itd. itd. Widzimy więc na jak wiele względów powinnibyśmy zwracać uwagę, aby usiłować oznaczyć to tylko co jest możliwem do poznania w świecie zaziemskim, nie zapuszczając się nawet w obręb prawdopodobieństwa. Część ta piérwsza nosi napis: Podróż astronomiczno-malownicza po niebie. (*Voyage astronomique pittoresque dans le ciel*). Na początku drugiéj części widzimy ludzkość w kolebce jeszcze, pod skwarnym słońcem wschodu, przyoblekającą w mistycyzm cały widzialny, nadziemski świat. Wśród kolei wieków przesuwa nam autor przed oczami, zmienne ciągle pojęcia o życiu ciał niebieskich i dochodzi wreszcie do nowszych czasów, w których dzięki genjuszowi naszego nieśmiertelnego ziomka, coraz jaśniéj ludzkość uwydatnia sobie budowę wszechświata.

Dzieło całe napisane z lekkością prawdziwie francuzką, nie bez korzyści może uprzyjemnić nie jeden wieczór zebranéj rodzinie. *St Ch.*

———

Nowa oryginalna powieść. Przytaczamy tu wyjątek z udzielonego nam przez panią Eleonorę Ziemięcką, listu Wincentego Pola, w którym zmianka o mającéj się ukazać niezadługo nowéj powieści.

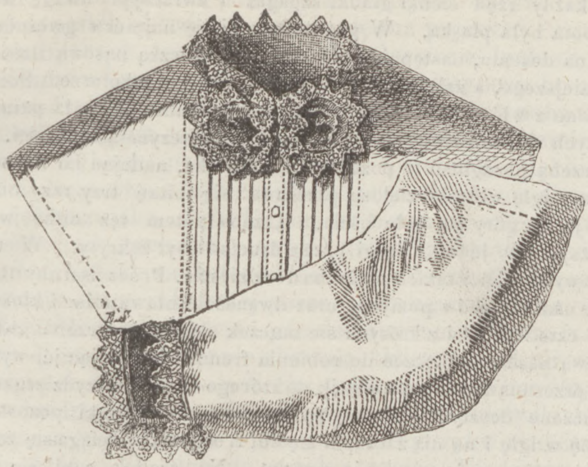
....Zeszła zima była dla mnie pracowita, bo najprzód miałem prelekcje o muzyce religijnéj, a następnie o klimatologji historycznéj. Prócz tego włożono na mnie w naszém konserwatorjum muzyczném obowiązek wypracowania całego planu szkoły dla organistów i choralnych śpiewaków, którą konserwatorjum jeszcze w roku bieżącym otworzyć zamierza. Dla Alexandra Fredry wybiliśmy medal i rozwiązałem komissję, która rok przeszło zajmowała mnie prawie wyłącznie.

Te różne zajęcia, wyznam, iż znużyły mnie, bo droga dyskussji j przekonania jest długą, za nim jakakolwiek zapadnie uchwała i otóż po ukończeniu tych wszystkich robót zapragnąłem trochę wiejskiego oddechu i wiejskiéj ciszy i piszę ten list z Łuczyc, gdzie przez Lwów i Sokal listy odbieram. Mamy tu towarzystwo bardzo dobre, dobre w tém znaczeniu, jak je Pani bierzesz. Bodzantowicz odczytał nam obszerną powieść swoją.

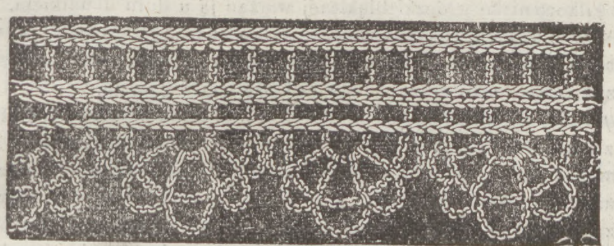
Rzecz jest bardzo dobra, oryginalna i powiedziałbym, jedyna w swoim rodzaju w literaturze naszéj.

Jak na teraz piszę godła do każdego jéj rozdziału wierszem, i wyznam Pani, że mi bardzo z tém dobrze, bo potrzebuję wytchnienia. Za kilka dni potrzeba znów wracać do Lwowa i zaprządz się na nowo do pługa."

Dodatek do Zeszytu XVII. Kółka Domowego.



Kołnierzyk i rękawek z gipiury Cluny i czarnéj aksamitki.



Koroneczka szydełkowa.

Trzeba najpiérw zrobić łańcuszek z trzynastu oczek, zawrócić potem nitką i zaczepić szydełko o 6 oczko, zrobić jeden słupek (baretkę) potem jedno oczko w powietrzu, 1 oczko przesunąć 2 słupki, 2 oczka w powietrzu 2 słupki; zawrócić nitkę 2 słupki, 2 oczka w powietrzu, 2 oczka przesunąć, 2 słupki, 1 oczko w powietrzu 1 przesunąć 1 słupek, 3 oczka w powietrzu. W otworze utworzonym z łańcuszka z 5 oczek w powietrzu spojonego w końcu, zrobić 5 słupków; potém 3 oczka w powietrzu ażeby nadać temu kształt łuski. Odwrócić nitkę, zrobić 1 oczko dubeltowe i 4 oczek w powietrzu nad każdym słupkiem łuski, potem 3 oczka w powietrzu, 2 słupki po nad dwoma następnemi słupkami, 2 oczka w powietrzu, 2 przesunąć, 2 słupki. W dalszym ciągu powtarza się wszystko od początku w tenże sam sposób.

Objaśnienie tablicy robōt.

Nr. 1. Deseń na poszycie siatki do pokrycia pleców fotelu. Deseń ten powtarzany, może służyć za szlak do oszycia alby.

Nr. 2 i 3. Desenie na kwadraty siatkowe, z których szlak się układa. Użyć ich również można do haftu na kanwie zastosowawszy kolory wedle upodobania.

Nr. 4. *Patarafka pod lampę.* Tło téj patarafki robi się gładko szydełkiem wrabiając w każdy rzęd cienki gładki szpagat i zwracając uwagę aby nieściągać żeby cała robota była płaska. W pośrodku robi się najpiérw gwiazda białą włóczką jak widzimy na deseniu, następnie zaś reszta tła włóczką pąsową do cieniu, zaczynając od najjaśniejszego, a zakończając na najciemniejszym kolorze. Potém trzeba zrobić kwiaty polne z włóczki, z których układa się wieniec do koła patarafki. Robotę każdego z tych kwiatów opisujemy szczegółowo zaczynając od liści. *Liście* różnéj wielkości potrzeba pozaginać i pozakręcać z druciku, nadając im formę do upodobania. Nawlekłszy igłę włóczką zieloną przesuwa się nitkę trzy razy od góry do dołu przyczepiając ją i u góry i u dołu liścia. Trzeba potem też nitkę w poprzek przewlekać, uważając aby jeden i drugi brzeg drucika był zakryty. W ten sposób cały liść się zacerowywa. Liści takich potrzeba dwadzieścia. Prócz liści aby utworzyć wieniec trzeba jeszcze ośm maczków polnych, oraz dwanaście bławatków i kłosów. *Maczki:* na każden ze czterech liści z których się maczek składa, potrzeba 32 razy okręcić włóczkę pąsową na deszczułeczce do robienia frendzli miarkując jéj wysokość na szerokość liścia i przesunąwszy u góry drucik do którego włóczkę przydziergać potem trzeba. Gdy to ukończone deszczułeczka się wysuwa, a nitka włóczki pozostawiona na końcu nawleka się w igłę i na nią zaczepia się dół frendzelki i ściąga się zaokrąglając drucik który jest u góry, w formie liścia maczku. Na środek robi się gałeczka wypchana watą zczarnéj materji, na wierzchu któréj sterczą prątki z czarnéj nagumowanéj nitki zrobione. Do téj gałeczki przytwierdzają się do koła liście pąsowe.

Bławatki. Bławatki składają się z drobnych listeczków, na każdym z nich składa się w kilkoro nitkę włóczki błękitnéj wiążąc ją u dołu drucikiem. Sześć takich kwiatków tworzy bławatek, przytwierdza się je do czarnego guziczka z waty i materji z którego sterczą czarne nagumowane nitki, których koniuszczki u góry aby były białe, umoczyć trzeba lekko w krochmalu zmieszanym z gummą.

Kłosy. Kłosy układają się na druciku, z ziarnek zrobionych każde z osobna. Aby zrobić ziarko, trzeba najpiérw przytwierdzić do drucika włos koński żółtawy, który ma wystawać do góry, podobnie jak w kłosach zboża. Potém tworzy się ziarko okrącając drucik żółtą włóczką w taki sposób aby mu nadać kształt żądany. Cała ta robota bardzo jest łatwa, lecz wymaga zawsze pewnéj zręczności i cierpliwości w wykonaniu. Spody kwiatów i druciki stanowiące ich łodygi okręcają się włóczką zieloną.

O UBIORACH.

Paryż 15 Sierpnia.

Największą nowością jaką wam dziś donieść mogę jest ta, że krynoliny prawie zupełnie z Paryża wypędzone a zastąpione są leciutkiemi spódniczkami muślinowemi; gdzie niegdzie tylko na ulicy można spotkać krynolinę, ale to chyba w ubiorze damy z tak zwanego *demi-monde* i to jeszcze takiéj, która się ubierać nie umié. Krynoliny upaść musiały, bo we Francji do tego stopnia je prześladowano, że w Marsylji zawiązało się towarzystwo złożone z 6,000 młodzieży, która dała sobie słowo, nie brać za żonę téj, coby chodziła w krynolinie. Halki toż samo ustąpiły białym jak śnieg spódniczkom, z falbankami karbowanemi, obszytemi czasem czerwonym, czarnym, lub niebieskim sznureczkiem, stósownie do wierzchniéj sukni. Kapelusiki bardzo zgrabne, ale zawsze jeszcze tak małe, że nie można ich rozróżnić prawie od czepeczków; noszą buciki węgierskie bardzo wysoko zachodzące, co do włosów, koki już nie w modzie. Noszą obecnie z tyłu głowy pęk loków, angielskich, z jednym bardzo długim lokiem, tak jak mogą być najdłuższe włosy, spuszczonym naprzód z opięciem stali brylantowéj, z kolczykami i takiemiż spinkami; całość ta bardzo jest do twarzy osobliwie blondynkom.

III.

Rozpoczęły się chłodne wieczory i ranki splecione z sobą upałami południa, ztąd lekkie suknie jeszcze panują, a cieplejsze okrywki trzymane w pogotowiu na przypadek chłodu zaczynają się już pojawiać. Są to krótkie kaftaniczki z wełnianych materji w paski kolorowe z białemi, lub też burnusy niezbyt długie z kapturami. Najpraktyczniejszy zaś, bo choć często drogi, ale zawsze trwały i modny, a łatwy do zabrania z sobą i przenoszenia z miejsca na miejsce, jest szal tkany czyli jak nazywają kaszmir. W głębi Azji na równinach Tybetu, pasą się te trzody o ciemnéj, miękkiéj sierci, która jest główném bogactwa kraju źródłem, przerobiona na słynne kaszmiry, w dolinie tegoż nazwiska. Pod długim, zwieszonym włosem stanowiącym niejako zwierzchnie tych kóz pokrycie jest sierć krótka, jedwabista, gęsto okrywająca, która służy za materjał do kosztownych tkanin; przez pasterzy starannie strzyżona w stósownéj porze, powiązana w runa, sprzedawaną zostaje w Kaszmirze miejscowym przedsiebiercom, którzy ją farbują, krochmalą w ryżowéj mące i następnie zbywają tkaczom. Szali w samym Kaszmirze wyrabianych bardzo mała liczba pokazuje się w handlu, są bowiem wszystkie, w miarę wykończenia, zakupywane dla azjatyckich książąt i panów, gdyż eleganci wschodni, na równi z naszemi wykwintnisiami ubiegają się o te szale, które i dla nich nie są takie tanie. Niedawno za dwie sztuki przeznaczone dla władzcy Lahory zapłacono summę wynoszącą w naszéj monecie 24,000 złp. Szale te, wraz z djamentami i perłami stanowią owe piękne upominki, które monarchowie Azji europejskim monarchom składają. Nie same jednak kozy Tybetu dostarczają przędzy na te wyroby; sierć pewnego gatunku wielbłądów z wielkiéj Bucharji, oraz miękka wełna owiec z okolicy Kaszmiru, są materjałem surowym, który następnie przerobiony i ufarbowany, tysiące rąk u Indjan zatrudnia. Szale indyjskie z których choć jedna sztuka znajdować się powinna w wyprawie majętniejszych kobiét Francji i Anglji, są kosztowne ale też równie trwałe i nie raz szal dla babki kupiony, bardzo jeszcze świetnie na wnuczce wygląda. Desenie ich oryginalne, jaskrawe jak barwy kwiatów zwrotnikowych, fantazji pełne jak umysł mieszkańców wschodu. Są to arcydzieła cierpliwéj pracy, gdyż indjanie robią je w ręku i jedna lub dwie sztuki zwyczajnie kilkunastu robotników przez półroku zatrudniają. Tymczasem fabrykant europejski siedząc przy swoim warsztacie, z jednym chłopczykiem, który mu sznurki przeciąga, jest w stanie w tydzień lub dwa cały szal wykończyć. Prawda że ma już przygotowaną wszystką przędzę ufarbowaną na tyle różnych kolorów, ile ich jest w kolorowanym deseniu, a zważywszy ile to tam w takim szalu tkanym jest punkcików, kresek, listeczków, z których każdy z innéj przędzy usnuty, przyznać należy, że robota też uie mała i potrzebująca biegłości robotnika, który nie może ciągle patrzéć, jak mu się deseń na dobréj stronie rozwija, ma bowiem odwrotną przed oczyma. Na téj tak zwanéj złéj stronie niezliczona moc poucinanych nitek powiewa, które po wykończeniu ścinają w ciągu minuty machiną francuzkiego pomysłu; ta po całéj powierzchni szalu z zadziwiającą szybkością rodzaj nożyc przesuwa. Następnie przeciągnięte z lekka gorące żelazko, ostatecznie pozostałe końce przylepi. Najpierwsze wyroby tego rodzaju w Europie są francuzkie, lubo azjatyckim dorównać nie są w stanie.

Możeście słyszeli o trójgraniastych kapelusikach? zbyt to jednak *śmiała* moda, którą zaledwie niektóre ekscentryczne kobiéty pozwalały sobie do konnéj jazdy. O kapeluszach chusteczkowych (fanchon) odzywają się już, że je jeszcze nosić można i że dotąd nie wydają się śmieszne. Patrzcie panie moje, jak moda stopniuje swoje okrucieństwo kiedy ma co detronizować, a jak pobłażliwa kiedy nie mogąc trafić na nowy pomysł, odwieczny powtarza i zaleca. I tak np. cóż bardziéj znanego jak suknie z podwle-

kanemi wszywkami? Otóż pełno takich białych sukien noszono tego lata, a wszystkie modniarki i mód dzienniki unosiły się nad ich wdziękiem. Prababki nasze haftowały jeszcze w krosnach na białym muślinie szydełkiem takie wstawki podzielone na kwadraciki, z których na przemiany jeden był całkiem gładki, drugi zaś wyhaftowany w bukiecik lub gwiazdkę. Między niemi na całą szerokość wstawki zrobiony był otwór tak, żeby można było przewłóczyć wstążkę nakrywając nią kwadrat gładki, a przeciwnie haftowany pozostawiając na wierzchu. Otóż kto takie wstawki dochował był wielce roztropny, bo szerokie na cztery lub pięć cali dają się nad jedną falbaną przy białych sukniach. Nadmieniam, że rękawy i stanik podobnież wystrojone być winny. Można przygotowywać do tego kwadraciki każdy osobno i wtedy staje się to miłą robótką pokojową, bo nie wymaga noszenia z sobą dużych pakietów. Kwadraciki te przedstawiają jeszcze tę korzyść, że mogą być używane aż do zdarcia. Odprute od jednéj sukni, zdadzą się do drugiéj. Przytoczę tu jeszcze suknię wcalę gustowną a oryginalną. Zrobiona z popielatego moheru, miała każdy bryt na niespełna pół łokcia od dołu, niedoszyty i otwierający się wyłogami na jedwabną, ciemno niebieską podszewkę, naszytą płaskiemi guzikami z perłowéj macicy. Wyłożenie każdego bryta również jak i obwód spódnicy, wycięty był w zęby okrągłe takąż samą materją obłożone. Do tego kaftaniczek krótki, w zęby niebiesko objęte wycięty. U rękawów krótkich i szerszych u dłoni niż u ramienia, były także niebieskie przedłużenia, nieco ścieśnione przy ręku. Z pod kaftaniczka biała lub niebieska bluzka wyglądać powinna, lub też tylko pasek w ząb tegoż koloru. *M. D.*

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

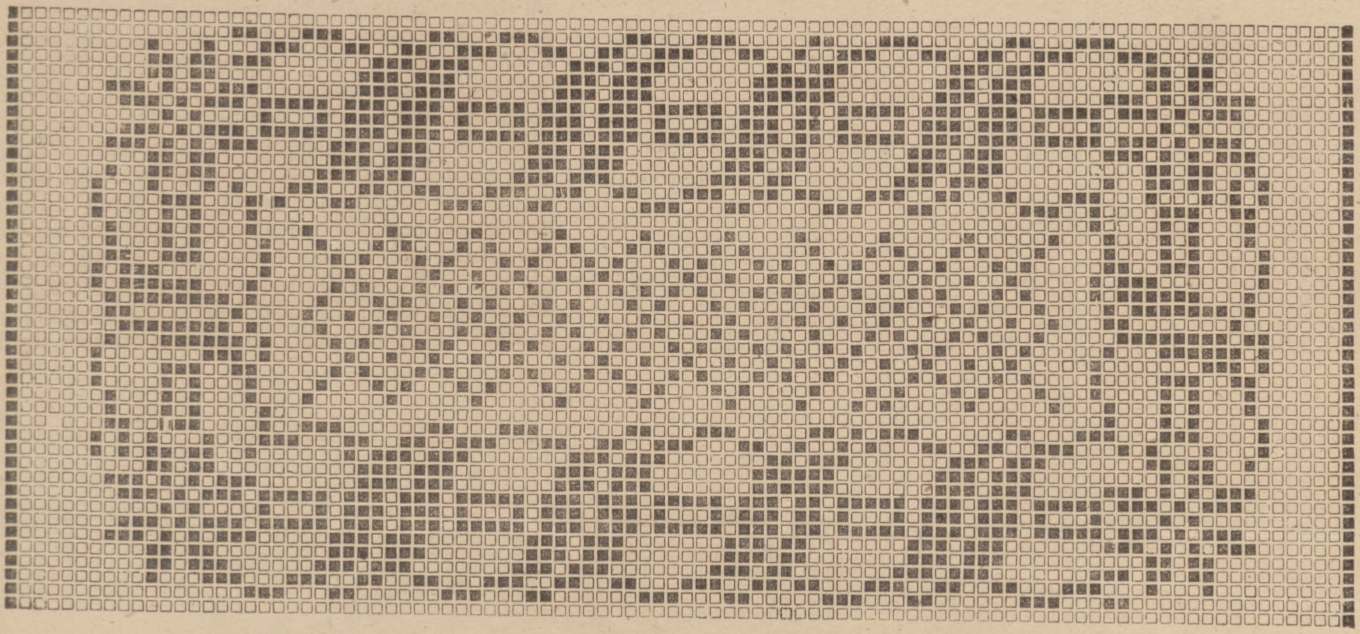
Zatrudnienia ogrodnicze w miesiącu Wrześniu.

Na inspektach w miesiącu bieżącym, dojrzewają melony. Największe i najpiękniejsze z pomiędzy nich, wyznacza się na nasienniki i zostawia na inspekcie ażeby zupełnie dojrzały. Nasienie melonów i ogórków czyści się w sposób następujący: owoce wzdłuż rozrzynają się ostrożnie, aby ziarnek nie nadwerężać, które wraz z śluzem okrywającym je, kładzie się w naczynie. Kilka dni poleżą na powietrzu aby cała massa fermentowała. Gdy z niéj bąble podnosić się poczną, znakiem to, że fermentacja dostateczna. Massę tę rozrzedza się wodą i zamieszywa, przez co ziarnka czyste na dno opadają. Płyn zlawszy, ziarnka wodą się obmyje i kładzie się na sitko, aby woda zupełnie z nich ściekała. Nasionka oczyszczone na miejscu przewiewném rzadko rozpostrzeć, aby obeschły. Rośliny z nasienia kalafiorowego, w miesiącu poprzednim posianego, w drugiéj połowie miesiąca bieżącego już wyrosły tak dalece, iż zdatne do rozsadzenia; trzeba je więc poprzerywać, aby pozostałe miały przynajmniéj po 3 cale ziemi. Rośliny wyjęte przesadzić można do gruntu na rabat wyniosły, zabezpieczony od ostrych wiatrów, z odstępami na 8 cali. Najtęższy mróz wytrzymują bez okrycia; tylko o to starać się trzeba, aby z grzędy zbyteczna wilgoć miała dość ścieku (dla tego grzęda wysoko musi być położona) i aby gorące promienie słoneczne, w Lutym i Marcu, kiedy obawa tęgich mrozów jeszcze nie minęła, roślin nie wysuszały.

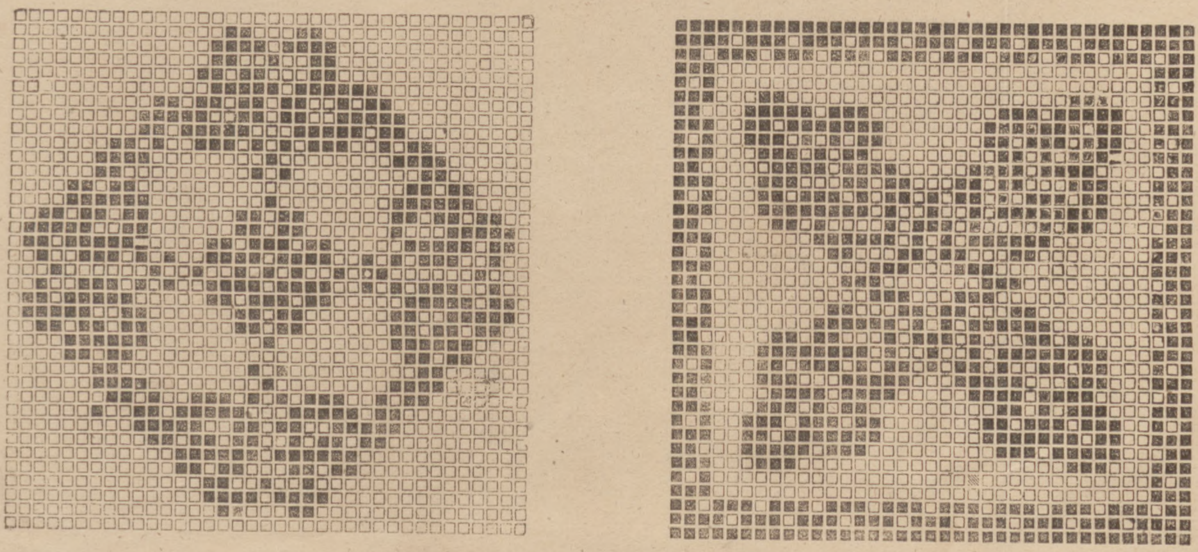
Spóźniona forma stanika wycinana z papieru, dołączoną zostanie do przyszłego poszytu.

KOŁKO DOMOWE.

Dodatek do XVII zeszytu z dnia 1 września 1865 roku.



DESEŃ NA SIATKĘ.



KWADRATY NA POSZYCIE SIATKI LUB HAFT KANWOWY.



PATARAFKA POD LAMPĘ LUB DZWONEK.